TATERNIK

ORGAN KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

WYCHODZI 6 RAZY NA ROK

ROCZNIK XXIII (1938/9) ZESZYT 2 (116)

TREŚĆ

† PROF. DR MARIAN SOKOŁOWSKI

WARSZAWA, LUTY 1939 R.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 41 m. 1; Tel. 241-47
FILIA ADMINISTRACJI: KRAKÓW, ULICA A. POTOCKIEGO 4; Tel. 112-77
CENA ZESZYTU 1 ZŁ. PRENUMERATA ROCZNA (6 ZESZYTÓW) 5 ZŁ.
KONTO CZEKOWE P. K. O. (ODDZ. WARSZAWSKIEGO P. T. T.) NR 4000

NAKŁADEM KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

TATERNIK

ORGANE DU CLUB DE HAUTE MONTAGNE
DE LA SOCIÉTÉ POLONAISE DES TATRAS

PARAIT SIX FOIS PAR AN

XXIII ANNÉE (1938/39) NUMERO 2 (116)

VARSOVIE, FÉVRIER 1939

SOMMAIRE

ADRES
ZARZĄDU KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO P. T. T.:
Warszawa, ul. Nowy Świat 41 m. 1. Telefon 241-47

KONTO CZEKOWE P. K. O. (ODDZ. WARSZAWSKIEGO P. T. T.) NR 4000

ADRES KOŁA WARSZAWSKIEGO K. W. P. T. T. — jak wyżej.

ADRES KOŁA KRAKOWSKIEGO K. W. P. T. T.:
Kraków, ul. A. Potockiego 4 (parter). Tel. 112-77.

ADRES KOŁA ZAKOPIAŃSKIEGO K. W. P. T. T.:
Zakopane, ul. Krupówki, Dworzec Tatrzański. Tel. 13-39.

Zarząd Klubu przypomina pp. Członkom Klubu, że o zmianach adresu winni zawiadamiać zawsze Zarząd tego Koła Miejscowego K. W. P. T. T., do którego należą oraz Administrację „Taternika" w Warszawie.

Zwracamy się do wszystkich przyjaciół „Taternika" o jednanie nam nowych czytelników i prenumeratorów.

TATERNIK

ORGAN KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

ROCZNIK XXIII (1938/9) • ZESZYT 2 (116)

WARSZAWA, LUTY 1939 R.

†

Ś. P.

PROFESOR DOKTÓR

MARIAN SOKOŁOWSKI

PIERWSZY PREZES I CZŁONEK HONOROWY
KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO P.T.T.

ZAŁOŻYCIEL I PIERWSZY PRZEWODNICZĄCY B. SEKCJI TATERNICKIEJ AKADEMICKIEGO ZWIĄZKU SPORTOWEGO W KRAKOWIE, WICEPREZES ZARZĄDU GŁÓWNEGO POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO, PROFESOR HODOWLI LASU I PRODZIEKAN WYDZIAŁU LEŚNEGO SZKOŁY GŁÓWNEJ GOSPODARSTWA WIEJSKIEGO W WARSZAWIE, WSPÓŁPRACOWNIK KOMISJI FIZJOGRAFICZNEJ I KOMISJI GEOGRAFICZNEJ POLSKIEJ AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI, CZŁONEK POLSKIEGO TOWARZYSTWA BOTANICZNEGO, CZŁONEK PAŃSTWOWEJ RADY OCHRONY PRZYRODY OD CHWILI JEJ ZAŁOŻENIA, B. WICEPREZES ZARZĄDU GŁÓWNEGO I B. PREZES ODDZIAŁU WARSZAWSKIEGO LIGI OCHRONY PRZYRODY, UCZESTNIK WALK O NIEPODLEGŁOŚĆ, OFICER LEGIONÓW, KAPITAN REZERWY W. P., ODZNACZONY KRZYŻEM NIEPODLEGŁOŚCI I CZTEROKROTNIE KRZYŻEM WALECZNYCH,

URODZONY W WIEDNIU 22 LUTEGO 1894 ROKU,
ZMARŁ W WARSZAWIE 18 STYCZNIA 1939 ROKU,

POCHOWANY 21 STYCZNIA 1939 ROKU NA CMENTARZU W ZAKOPANEM
U STÓP SWYCH UMIŁOWANYCH GÓR.

Straciliśmy bezpowrotnie wskrzesiciela polskiego ruchu wysokogórskiego w latach powojennego upadku taternictwa, do ostatnich chwil życia jego duchowego i faktycznego wodza, niezapomnianego towarzysza wypraw wysokogórskich, gorącego miłośnika i niestrudzonego badacza przyrody górskiej, bojownika idei ochrony pierwotności Tatr.

KLUB WYSOKOGÓRSKI P. T. T.
składa hołd Jego pamięci.

Ś. p. prof. dr Marian Sokołowski zmarł w warszawskim szpitalu Dz. Jezus wskutek zapalenia płuc, jakie wywiązało się po operacji ślepej kiszki, dokonanej już w stanie ropnego zapalenia, w okresie pogrypowej rekonwalescencji. Mimo poważnego stanu, w jakim operowano Chorego, nic nie wróżyło tragicznego rezultatu operacji i w pierwszych dniach pa jej dokonaniu gorączka stopniowo opadała. Tymczasem we wtorek 17 stycznia temperatura podskoczyła nagle do 40 stopni; 18 stycznia rano, o godzinie 7 minut 55, profesor Marian Sokołowski zamknął oczy na zawsze.

20 stycznia o godz. 11 odbyło się w Warszawie, w kościele Zbawiciela, uroczyste nabożeństwo żałobne. Katafalk z trumną tonął w zieleni i kwieciu wieńców. W krzesłach zajęła miejsce Wdowa po Zmarłym, Pani Anna Sokołowska i Rodzina, w prezbiterium zasiadł Rektor i Profesorowie Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w togach i z insygniami akademickimi, a przy trumnie stanęli pedle z berłami. Kościół wypełniony był po brzegi przybyłymi licznie przyjaciółmi ś. p. Profesora i delegacjami szeregu towarzystw i instytucyj. Członkowie Klubu Wysokogórskiego, zamieszkali na terenie Warszawy, stawili się w komplecie. Za Prezydium Zarządu Głównego PTT przybył prezes prof. dr W. Goetel. Po nabożeństwie trumnę i wieńce złożono w samochodzie, który wyjechał bezpośrednio do Zakopanego, gdzie nazajutrz odbył się pogrzeb.

21 stycznia — po mszy żałobnej odprawionej w zakopiańskim kościele parafialnym — wyruszył ku nowemu cmentarzowi długi kondukt pogrzebowy. Na czele — po długiej kolumnie wieńców, których liczba przekroczyła 40 — szła delegacja Związku Legionistów ze sztandarem owiniętym krepą, dalej orkiestra góralska, potem czwórkami maszerowali miejscowi i przybyli do Zakopanego na pogrzeb członkowie Klubu Wysokogórskiego, a za nimi przewodnicy tatrzańscy i członkowie Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Za tą asystą ksiądz poprzedzał doczesne szczątki Zmarłego wiezione na przybranym zielenią prostym wozie góralskim. Za trumną szła Wdowa i Rodzina ś. p. Profesora, za nimi wreszcie cały tłum przyjaciół i znajomych odprowadzał Zmarłego na miejsce wiecznego spoczynku. Od bramy cmentarnej do grobu ponieśli trumnę na barkach członkowie Klubu Wysokogórskiego i przewodnicy tatrzańscy.

Nad otwartym grobem w serdecznych, pełnych żalu, wzruszających słowach żegnali ś. p. profesora doktora Mariana Sokołowskiego przedstawiciele tych instytucyj, z którymi za życia związały Zmarłego Jego prace i zamiłowania. Tak więc imieniem senatu i grona profesorskiego Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego przemawiał rektor SGGW prof. inż. Jan Miklaszewski, imieniem Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego — wiceprezes Zarządu Głównego PTT inż. Mieczysław Mączyński, potem żegnał ś. p. Profesora wiceprezes Klubu Wysokogórskiego PTT dr inż. Maciej Zajączkowski — ślubując w imieniu Klubu Wysokogórskiego i przyjaciół-taterników Zmarłego wierność tym ideałom, które w dziedzinie stosunku do gór i alpinizmu wyznawał i realizował nieodżałowany Prezes, Członek Honorowy i duchowy Przewodnik Klubu. Potem jeszcze przemawiali nad trumną: prof. dr Roman Kobendza imieniem Warszawskiego Komitetu Ochrony Przyrody, prof. dr Bogumił Pawłowski — towarzysz ś. p. Profesora w Jego tatrzańskich wyprawach botanicznych — imieniem Instytutu Botanicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, p. Witold Biernawski, prezes Koła Leśników SGGW, imieniem młodzieży akademickiej tej uczelni i p. Tadeusz Zwoliński w imieniu Legionistów i towarzyszy broni Zmarłego. Po przemówieniach, odchodzącemu w lepsze światy Profesorowi góralska orkiestra zagrała na ostatnie pożegnanie tradycyjnego „zbójnickiego".

Otulone zimowymi śniegami Tatry roztoczyły w dniu 21 stycznia 1939 roku całą pełnię swych kras. Nad Świnicą stało słońce na bezchmurnym niebie — gorące, niemal wiosenne, lśniąc tysiącem złotych blasków na skutych śniegiem i lodem graniach. Takim to dniem urocznym Tatry żegnały Tego, którego serce dozgonną ku nim płonęło miłością.

Śmierć ś. p. prof. dra Mariana Sokołowskiego przyszła w chwili zupełnie nieoczekiwanej. Zabrała Go w sile wieku, w pełni sił, prac i zamiarów. Tym większym przeto stała się ciosem dla tych wszystkich instytucyj, z którymi Zmarły współpracował, którym wielkodusznie zaofiarowywał swe zdolności, energię i zawsze młody, twórczy zapał. Dla Klubu Wysokogórskiego odejście ś. p. Profesora jest ciosem szczególnie bolesnym — stratą niepowetowaną. Nie tu miejsce na charakteryzowanie roli, jaką ś. p. prof. dr. Marian Sokołowski odegrał w powojennym polskim taternictwie, nie tu miejsce na omawianie tego znaczenia i tej pozycji moralnej, jaką swymi ideałami i swą pracą, tak bogatą w wyniki, wyrobił sobie w polskim ruchu wysokogórskim. Życiu i działalności górskiej Zmarłego poświęcony zostanie w najbliższym czasie osobny, powiększony zeszyt „Taternika". Tu jednak — łącząc się po stracie nieodżałowanego Prezesa Klubu Wysokogórskiego w najgłębszym żalu z całą Rodziną ś. p. Profesora — podkreślić musimy, że zgon Jego stwarza dla Klubu lukę, której częściowe choćby wypełnienie wymagać będzie jednolitego, zgodnego zestrzelenia energii i pracy wszystkich, którym losy Klubu nie są obojętne — aby puściznę Zmarłego w przyszłości należycie pielęgnować i testament, jakim stały się Jego prace i ideały, godnie wypełnić!

ZAWIADOMIENIE

Na posiedzeniu w dn. 30 stycznia rb. Zarząd Klubu uchwalił zwołanie na dzień 12 marca 1939 r. II Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia Członków Klubu Wysokogórskiego PTT. Zgromadzenie odbędzie się w Warszawie w lokalu Klubu przy ul. Nowy Świat 41 m. 1, o godzinie 11.00, bez względu na liczbę obecnych.

Porządek dzienny: 1) Zagajenie. 2) Zatwierdzenie protokółu z IV Zwyczajnego Walnego Zgromadzenia. 3) Wybór prezesa Klubu na miejsce opróżnione przez śmierć śp. prof. dra Mariana Sokołowskiego. 4) Wybory uzupełniające do Zarządu. 5) Wolne wnioski i interpelacje.

„JAKŻE INNE STAŁO SIĘ ZWIEDZANIE TATR!"

czyli

STARZY I MŁODZI

I.

Z wiosną 1937 r. ukazała się na łamach najpoczytniejszego wydawnictwa alpinistycznego, popularnego wiedeńskiego tygodnika „Allgemeine Bergsteiger Zeitung", obszerna rozprawa pewnego głośnego niemieckiego alpinisty, która, wydana niebawem jako osobna broszura, wywołała wrażenie rewelacji, spowodowała najżywszą w latach ostatnich polemikę ideologiczną w alpiniźmie i uzyskała szereg obszernych omówień, zarówno entuzjastycznych, jak krytycznych. Myślę tu o niezwykłej wypowiedzi E. G. Lammera pt. „Wie anders ist das Besteigen der Alpen geworden!" (str. 80, bez m. i r. wyd.), która i ze stanowiska taternickiego zasługuje na gruntowniejszą uwagę.

Kim jest Lammer, nie trzeba przypominać górskiemu turyście. Jeden z największych alpinistów pokolenia przedwojennego, zdobywca szeregu cennych i na swój czas rekordowych dróg alpejskich, głośny i najzawziętszy ochroniarz (por. „Wierchy" VI, 154—164), jest Lammer zarazem wybornym pisarzem alpinistycznym oraz ciętym polemistą, którego głośna broszura o prof. Schulzu („Ein alpiner Ritter von der traurigen Gestalt", 1888; por. „Tat." XIII, 44) stała się niedoścignionym wzorem pamfletu alpinistycznego, a zarazem klasycznym wprost przykładem „walki pokoleń" w alpiniźmie. Teraz stary Lammer wstąpił znowu w szranki polemiki. Ale celem jego gwałtownego ataku stali się tym razem nie starsi, lecz młodsi, cały powojenny alpinizm sportowo-wspinaczkowy.

Lammer przyznaje, że alpinizm współczesny jest z gruntu inny niż alpinizm jego młodości. Ale nie widzi w nim żadnego postępu, przeciwnie, na każdym kroku odwrót i zapędzanie się w ślepą ulicę bezdusznej i oddalającej uczuciowo i etycznie od gór akrobacji skalnej.

Lammer powiada — przejdźmy pokrótce jego rozumowanie:

1) Odmienił się, ocieplił klimat Alp i wbrew hipotezom uczonych ani myśli wrócić do dawnej normy. Od lat siedemdziesięciu lodowce alpejskie cofają się nielitościwie, mniejsze lodowce wiszące wyrodziły się w żałosne półka firnowe, a co gorsze, również „die Firnwände der Alpen werden angefressen oder aufgefressen wie ein stattlicher Pelz von Motten". Wyrokuje więc Lammer z goryczą, że „es gibt nirgends mehr in unseren Alpen eine Firnwand in der erhabenen Fülle und Urgewalt der alten Zeit" i daje na to istotnie zastanawiające przykłady. Tym samym przejścia ścian firnowych stały się o wiele łatwiejsze niż dawniej i można było śmiało pokusić się o zaatakowanie i zdobycie urwisk istotnie uprze-

dnio niedostępnych, nie uzyskując przez to bynajmniej faktycznego postępu. Ten „nędzny klimat" nie ogranicza się już do Alp: nawet wśród ścian kaukazkich możemy zauważyć jego niszczące wpływy.

2) Decydującym dla współczesnego alpinisty stało się z kolei szerokie zastosowanie raków Eckenstein'owskich i lekkich namiotów Zdarsky'ego. Dopiero „dieser Dreibund (Ausaperung, neuzeitige Fusseisen, leichtes Zelt) hat den Heutigen auch das Tor zu allen übrigen gewaltigen Wänden und Graten im vergletscherten Geländ aufgeschlossen", jak np. pn. ściany Dent d'Hérens, Grandes Jorasses i in.[1]). Do tego dołącza się pomoc nowoczesnej techniki narciarstwa. Z tych wszystkich powodów nie jest postępem — w stosunku do zdobyczy sprzed pół wieku — ani przejście dawniej istotnie niedostępnych ścian lodowo-skalnych, ani też krótkość czasu, w jakim te drogi o wysokim stopniu trudności bywają pokonywane.

3) Jeszcze gorzej jest w terenie czysto skalnym. Już wynalazek trzewiczków zmienił niektóre „niemożliwe" zerwy na możliwe do przebycia. Cóż dopiero mówić o hakach i nowej technice linowej! Spowodowały one tak daleko sięgający przewrót — z niepozornych sprzętów pomocniczych stały się takim panem i władcą wspinacza skalnego — że należy po prostu mówić o zupełnie odrębnym sporcie „Nagelei oder Felsenschlosserei" i oddzielić go całkowicie od alpinizmu. L a m m e r jest zdecydowanym wrogiem używania haków w skale w jakiejkolwiek roli poza ubezpieczeniem i pyta pełen oburzenia, czy może być coś bardziej „Verlockenderes" niż wykorzystywanie takich stalowych sprzętów jako chwytów i stopni. Porównuje to z wszelkimi „Orlemi Perciami", ale — przypomina złośliwie — towarzystwa alpejskie dziś się już wstydzą swoich klamer i łańcuchów. „Bald werden also die Ritter vom fünften oder sechsten Grad die einzigen sein, die unsere stolzesten Alpenwände mit Eisen spicken wie einen Hasenbraten. Welcher Fortschritt!". Zdaniem L a m m e r a, dzisiejsza technika hakowa wyklucza niebezpieczeństwo nawet dla pierwszego na linie, eliminuje ze wspinaczki problem siły ciężkości, tego największego wroga turysty górskiego, i zamienia wspinaczkę w bezduszne ćwiczenia gimnastyczne, nie mające nic wspólnego z prawdziwą górskością. „Wo mehr seelische Kraft eingesetzt wird: in ungeschütztem Kampfe Mann gegen Fels oder beim Seilzug, das möge sich der Leser selbst beantworten" — pisze pewien siebie.

4) Wreszcie do ogólnego ułatwienia uprawiania alpinizmu przyczynia się i szereg innych okoliczności, jak kunsztowne ścieżki, wygodne i wysoko położone schroniska, dokładne opisy dróg itp.

5) Jakiż z tego obrazu wniosek końcowy? „A l l e s hat sich von Grund auf gewandelt, und zwar ist es durchwegs leichter und gefahrloser geworden".

II.

Jeżeli rozpatrzymy bliżej rozumowanie L a m m e r a, uderzy nas ich podobieństwo i paralelizm do zjawisk, które każdy starszy taternik mógł zaobserwować w Tatrach.

---

[1]) Na poparcie swoich twierdzeń podaje L a m m e r różne cytaty ze współczesnych opisów alpinistycznych, z których trzeba mi przytoczyć zdanie R. P e t e r s a z jego opisu przejścia pn. ściany Grandes Jorasses („Osterreichische Alpenzeitung" ze stycznia 1936 r.): „Bez wykucia bodaj jednego stopnia posuwam się w czystym lodzie prosto w górę przy pomocy moich specjalnych raków".

1) Klimat tatrzański uległ podobnemu zjawisku ocieplenia, co i alpejski. Gdzież się podziały owe sławne zimy tatrzańskie, w czasie których śniegi przez parę miesięcy pokrywały pod dach szałasy na halach, a w turniach grzmiały lawiny uniemożliwiające wszelki przystęp? Dziś, jeśli spadną w Tatrach wielkie śniegi, trzymają się ledwie parę tygodni, — częściej miewamy odwilże, możność atakowania urwisk ponad Kaczą czy Śnieżną Doliną, a latem spacery w kostiumach kąpielowych i przechadzki po różnych „magistralach", jak po Krupówkach.

2) Używalność raków, haków, lekkich namiotów itp. zmieniła i w taternictwie warunki sportowe do gruntu. Jeszcze tacy tatemicy, jak Świerz, Szczuka, czy ja sam, wspinaliśmy się boso i zdanie Lammera, że „Barfussklettern ist das natürliche Bergsteigen", było i naszą dewizą. Haków używano jak najmniej i mógłbym dać wiele przykładów na dowód, że tam, gdzie taternicy dawniejsi szli z jednym - dwoma hakami lub w ogóle bez żelaziwa, wspinacze dzisiejsi używają haków wiele razy, bodaj jeszcze bardziej bezceremonialnie niż wspinacze alpejscy.

3) Niegdyś szło się w Tatry zimowe bez haków lodowych, czasem nawet bez nart, raków, namiotów i śpiworów (mam osobiście takie wspomnienia z zim 1925—1928). Dziś współczesny taternik, zdając sprawę ze swej zwycięskiej wyprawy zimowej pn. ścianą na Mięguszowiecki Szczyt, pisze omal tak jak Peters (por. przyp.[1]): „Uderzenie było istotnie potężne — komin puścił *względnie łatwo* — haki lodowe i raki systemu Grivel zrobiły swoje" (Z. Korosadowicz w „Tat." XX, 225).

Czyż rozumowanie Lammera nie jest więc słuszne i w stosunku do taternictwa, i czy naprawdę współcześni taternicy są sprawniejsi i uzyskali lepsze zdobycze niż ich poprzednicy sprzed dziesięciu, a nawet sprzed lat trzydziestu? Lammer nie wahałby się ani chwili z odpowiedzią.

III.

Jakież może być w tych warunkach ocalenie dla alpinizmu czy taternictwa, zagubionych bez ratunku na manowcach sportu ślusarskiego i pseudopostępu? Droga ma być jedna, wskazują na nią tak dobrze Lammer jak Kordys, Dorawski jak Stanisławski: góry egzotyku! Tam, zwłaszcza w Himalajach, „spriessen die titanischen Aufgaben, die ins Übermenschliche vorstossen, zu vielen Tausenden. Dort verschwinden von selbst all die kindischen Mätzchen vom „fünften Grad, obere Grenze" oder „sechsten Grad Mitte", von der ungeheuren, furchtbaren Einheit der eisigen Natur" — pisze Lammer.

IV.

Krytyka tez Lammera na ogół nie jest łatwa. Nikt nie może zaprzeczyć istnienia zmian klimatycznych, ani zwycięstw bardziej haka niż człowieka nad skałą. Toteż większość krytyków Lammer'owskich wolała się zasłonić ogólnikami i niewiele mówiącymi zastrzeżeniami przed skrajnością wywodów autora; wystarczy przejrzeć choćby opinie „Berg und Ski" (nr z lipca 1937 r.) lub „Der Bergsteiger" (nr ze stycznia 1938 r.). Całkowite, na sto procent, poparcie poglądów Lammera wypowiedziały alpinistyczne sfery kierownicze angielskie i szwajcarskie. Nic dziwnego, skoro ich antysportowe nastawienie jest znane i wielokrotnie akcentowane [2]).

---

[2]) Por. choćby z lat ostatnich R. L. G. Irvinga „Relativity in Mountaineering" (w „Alpine Journal" z listopada 1937 r.), gdzie w walce ze sportowością posunięto się

Ze strony młodych mało odezwało się głosów. I znowu nic dziwnego, skoro młodzi z natury rzeczy więcej są skłonni do wspinania się niż do pisania i mniej też mają dostępu do czasopiśmiennictwa alpinistycznego. Za wyraz ich przekonań można uważać słowa S. Walchera (w „Österreichische Alpenzeitung" z grudnia 1937 r.), że dzisiejsza młodzież alpinistyczna „kennt und verehrt ihre alten Meister, aber sie lässt sich ebensowenig von ihrem Weg abbringen, wie er vor fünfzig Jahren von dem seinen". Było to... przejście do porządku dziennego, może nawet bardziej ironiczne niż pełne szacunku.

V.

Tezy Lammera są ponętne dla alpinistów starszego pokolenia [3]. Ale ich słabą stroną jest, że Lammer mówi o sprawach, których (częściowo) z własnego doświadczenia nie poznał. Tak jest przede wszystkim w odniesieniu do całego ataku na nowoczesną technikę wspinaczkową. Podstawową omyłką jest bowiem wmawianie bezpieczeństwa i zmniejszenia trudności wspinaczkom przy pomocy haków. Nie mówiąc już o ryzykanctwie haków lodowych (iluzję bezpieczeństwa, jaką one zapewniają, uwypukla sam Lammer) — nawet haki skalne i wszelkie manipulacje z linami w niczym nie ułatwiają drogi skalnej, o ile te środki stosuje się w terenie i w rozmiarach, bez których posuwanie się naprzód byłoby niemożliwe. O to właśnie chodzi: *nowoczesna technika skalna udostępnia niedostępne*, ale na tym koniec [4]. Nie znając z własnego doświadczenia nowoczesnych dróg sportowych nie może też Lammer zrozumieć, że

tak daleko, iż oceniono ujemnie nawet tak bliskiego sercu Anglików fetysza wysokości; lub znane uchwały Szwajcarskiego Klubu Alpejskiego, ogłoszone też w całości w „Taterniku", XXI, 211—212. Nawiasem dodam — jeśli wolno mi przypomnieć głoszone z dawna poglądy — do tez szwajcarskich bynajmniej nie przyłączyłem się bez zastrzeżeń. Potępienie ducha współzawodnictwa (z powołaniem się na Greków!) jest nie tylko echem przebrzmiałych i zgoła fałszywych wyobrażeń na temat sportu greckiego, ale również kłóci się z rzeczywistością, w której współzawodnictwo — utrzymane w granicach sportowej *fair play* — jest i było zawsze jednym z głównych źródeł postępu, od pionierskiego wejścia J. G. Pawlikowskiego na Mnicha (by dać przykład tatrzański) aż do pionierskich szturmów W. Stanisławskiego przy pomocy pętli i haków na wschodnią ścianę tegoż szczytu. Wśród modernistów alpinistycznych panują na ten temat na ogół zgodne poglądy.

[3]) Nie były też w swoim nastawieniu pierwsze w alpiniźmie, ani tym mniej ostatnie. Już stary Hoek nawoływał przed laty w „Alpine Journal" do zupełnego wyodrębnienia "ślusarstwa skalnego" od alpinizmu, podobnie jak skoków na nartach od narciarstwa. Wystarczy następnie przytoczyć jeremiady zmarłego ostatnio Alfreda Steinitzera z 1932 r. (omówione dokładnie w „Taterniku", XVI, 6—7) i sędziwego Hansa Bartha z 1934 r. (cyt. w „Tat.", XIX, 89—90), przypomnieć wreszcie krytyczne głosy po przejściu pn. ściany Cima Grande di Lavaredo (por. „Tat.", XVII, 130). Ostatnio znowu znany alpinistyczny publicysta szwajcarski, Carl Egger, w jubileuszowym zeszycie „Die Alpen" (z października 1938 r.) raz jeszcze (w art. „Wandlungen der Bergsteigerpsyche 1863—1938") odesłał nowoczesnych wspinaczy na fasady kamienic lub do kamieniołomów, ponieważ „diese Art von Akrobatik nichts mehr mit Bergsteigen zu tun hat". Jak widzimy, na brak krytyk skarżyć się nie można, ale alpinizm i tak idzie swoją drogą.

[4]) Użytą w szerszym zakresie potępia nawet Rudatis (por. ust. VI). Powiada on wyraźnie: „Na niektórych drogach może zespół linowy ubezpieczać sobie, by tak rzec, metr za metrem i tym samym nawet na długich drogach o wielkich trudnościach w znacznym stopniu wyeliminować niebezpieczeństwo. Ale kto się wspina w ten sposób, myli się, jeśli sądzi, że dokonał wyczynu w odpowiednim stopniu trudności!". Opinia tym cenniejsza, iż pochodząca od największego zwolennika techniki hakowej. Podkreślam jeszcze raz ten moment, że wspinaczki po tzw. drogach nadzwyczaj trudnych w Tatrach obywały się w latach 1910—1930 najczęściej paroma hakami ubezpieczającymi, a nieraz

jego pogląd, iż byle strażak na drabinie, byle dachówkarz na stromym dachu itp., są bardziej eksponowani (i, domyślne, więcej narażeni na niebezpieczeństwo), niż „dobrze ubezpieczony bohater szóstego stopnia" — jest najzupełniej fałszywy. Świadczy przeciw temu zdanie każdego, kto się z takimi drogami zmierzył własną sprawnością i własnymi hakami, świadczy tym bardziej statystyka katastrof alpejskich. Postęp jest więc niewątpliwy i żadne dowodzenia nie zdołają obalić zasadniczego faktu, iż drogi skalne przed półwieczem uważane za granicę ludzkich możliwości, zalicza się dziś najczęściej do trzeciego stopnia trudności, w połowie zaledwie idealnej różnicy pomiędzy łatwym a skrajnie trudnym terenem skalnym. I że przechodzi się je w czasie bez porównania krótszym niż osiągali alpiniści dawniejsi, nieraz samotnie, a tak samo bez haków jak pierwsi zdobywcy. Jeśli to nie jest postęp ogromny i istotny — nie wiem w ogóle, co możnaby nazwać postępem w alpiniźmie.

Rzecz prosta, że i ideologicznie musi być alpinizm dzisiejszy różny od dawniejszego. O ile chodzi o grunt tatrzański, pisałem już na ten temat obszernie w „Tat." XIX, 10—11 i 191. Ale przewidziana tam inwazja boiskowści do alpinizmu nie jest żadnym nieszczęściem, a doskonale — jak się od lat dziesiątka okazuje — zaspokaja pragnienie postępu tych, którzy — z jakichkolwiek względów — nie zostali ogarnięci ruchem alpinistyczno-egzotycznym. Niewątpliwie jest to przyszłość bliższa, poza którą możnaby jeszcze poszukiwać odpowiedzi na pytanie o przyszłość dalszą. Ja widzę ją w nawrocie romantyzmu wysokogórskiego (por. „Tat." XIX, 167), L a m m e r w powrocie do absolutnej dzikości pustaci alpejskich, zniszczeniu wszelkich ścieżek, schronisk, przewodników, nie mówiąc już oczywiście o kolejkach i wyciągach. Niestety, tej wiary L a m m e r a nie podzielają nawet najżarliwsi i najbardziej optymistyczni ochroniarze.

VI.

Na przeciwnym L a m m e r o w i biegunie stanął jako teoretyk i entuzjasta nowoczesnych form alpinizmu skalnego Włoch Domenico R u d a t i s. Ten czterdziestoletni dziś Wenecjanin (ur. w 1898 r.), współzdobywca niejednej drogi szóstego stopnia [5]) — z pierwszymi wejściami na cztery bodaj najtrudniejsze *campanile* Alp Wschodnich: Pan di Zucchero, Torre di Babele, Campanile di Brabante i Guglia 43, na czele — napisał najpierw cały szereg rozpraw, artykułów i rozważań teoretycznych na temat modernizmu alpinistycznego (por. „Tat." XVIII, 83), a następnie osobną pracę „Il regno del sesto grado" („Riviste mensile del CAI" z 1935 r.), którą rozszerzył do rozmiarów osobnej książki wydanej po niemiecku pt. „Das Letzte im Fels" (Monachium 1936, str. 250, Gesellschaft Alpiner Bücherfreunde). R u d a t i s wychodzi z założenia (które przypomina Paul H ü b e l, autor przedmowy do „Ostatnich możliwości w skale"), że „alpinizm ma być dziś nie tylko „także sportem" i nie tylko „tylko sportem", ale że

były wykonywane przez taterników w ogóle nie posiadających haków, młotka i trzewiczków. Stosowanie techniki hakowej na drogach, na których nie jest niezbędna, powoduje, zdaniem R u d a t i s a, taką zmianę warunków, jaka zachodzi między rekordem W e i s s m ü l l e r a a wyścigiem łodzi żaglowych.

[5]) Parokrotnie padło już w nin. atrykule określenie „piąty stopień", „szósty stopień" itp. Zamierzając tematowi modernistycznych skali trudności poświęcić osobne uwagi, na tym miejscu w sprawie wyjaśnienia, co to jest np. „szósty stopień trudności skalnych" i zorientowania się w niektórych zawiłościach tego zagadnienia, odsyłam do uwag i notatek „Tat.", XVII, 88; XX, 61—62 i XXI, 212—215.

łączy w sobie wszystkie warunki, aby być sportem sportów, aby stać na czele jako sport królewski" [6]). W osiągnięciach współczesnego alpinizmu w skałach Alp Wschodnich widzi Rudatis postęp tak znaczny, iż uważa — w stosunku do alpinizmu z przed 1914 r. — za właściwe mówić po prostu o całkowitej przebudowie i przemianie. Uzasadnieniu tego poglądu poświęca najważniejszą, teoretyczną część książki [7]), która kulminuje we wnioskach, że alpinizm „ich heute der Führer zur Bildung eines höheren sportlichen Bewusstseins" i że „Schlechterdings nichts in der Welt ist der körperlichen und geistigen Gesamtleistung einer neuen Fahrt sechsten Grades vergleichbar, wenn dieselbe in reinem Stil durchgeführt ist!"

VII.

Gdzie jest prawda, a raczej skromniej: kto ma rację? Mówią fakty: komin Schmitta w Fünffingerspitze (por. „Tat." XX, 196 i 198) był przed pięćdziesięcioma laty górną granicą trudności skalnych; dziś jest co sezon przebywany setki razy i umieszcza się go gdzieś pomiędzy trzecim a czwartym stopniem. Tak jest w skale. Podobnie w lodzie: przejście rynny Pallaviciniego w Grossglocknerze (por. „Tat." XVII, 43 i XXI, 47—50) było niegdyś wyczynem wspaniałym i rekordowym, o którym sam Lammer pisze w superlatywach; dziś tę drogę przebywa się niejednokrotnie bez rąbania stopni, samotnie i bez asekuracji, a rekord krótkości czasu jej przejścia wynosi 1 (jedną) godzinę i 40 minut (a nieodległą pn.-zach. ścianę Grosess Wiesbachhornu przebył H. Tomaschek samotnie w 1 godzinę i 25 minut). Łupem alpinistów stały się zaś takie zerwy lodowo-skalne, dawniej w ogóle poza dyskusją, jak północne ściany Matterhornu, Grandes Jorasses i Eigeru. Spod prawa nieprzerwanego, ale stopniowego postępu nie mogli się wyłamać ani najlepsi alpiniści przedwojenni, jak Mummery czy Zsigmondy, ani najlepsi magicy skalni, jak Winkler, Innerkofler, Dülfer, Preuss. Tak samo w taternictwie: nikt dziś nie może już wątpić we wszechstonną „trudniejszość" takich dróg, jak środkiem pn. ściany Małego Kiezmarskiego Szczytu, pn. ścianami Wołowej Turni i Lodowego Zwornika, wsch. ścianami Łomnicy i Gierlachu, etc., etc. — w porównaniu z rekordowymi przed wojną osiągnięciami taterników na Małym Lodowym Szczycie i Zamarłej Turni. Z tego punktu widzenia również katastrofa na zach. ścianie Kościelca posiada znaczenie wymownego symbolu.

Nikt nie uniknie swego losu. A nieporozumienia „starych" z „młodymi" są zjawiskiem o stałej powtarzalności.

VIII.

Na zakończenie wyznanie liryczne. W. Stanisławski napisał o mnie kiedyś: „J. A. Szczepański ...chce być „wiecznie młody" i iść jak najwytrwalej z duchem czasu..." („Tat." XVII, 107). Istotnie mam tę ambicję, by rozumieć każdoczesną teraźniejszość sportową, która musi być zawsze młoda. Dlatego wiem i nie mogę nie przyznawać, że na naszym po-

---

[6]) Warto przypomnieć, że w taternictwie pogląd taki głoszony jest od dawna; por. uwagi w „Tat.", XV, 32—33.

[7]) Jej część druga poświęcona jest opisom i barwnej charakterystyce ogólnej siedemnastu dróg szóstego stopnia w masywie dolomitowym Civetta, owym „królestwie szóstego stopnia", „najpiękniejszych skalnych górach świata" itp.

koleniu nie mógł się zatrzymać i nie zatrzymał się rozwój taternictwa, że zdobycze tego pokolenia były tylko jednym ze stopni postępu posuniętego znów dalej przez następców. Ale sercem jestem z Lammerem, że dawne czasy — bez kolejek, wyciągów, dróg lewą częścią prawej połaci, biegów zjazdowych i konstruktywizmu taternickiego — były lepsze.

Jan A. Szczepański

EIGER I GRANDES JORASSES

Lato 1938 r. przyniosło dwa największe w dziejach alpinizmu zwycięstwa. Zdobyte zostały po wielu latach bezskutecznych ataków dwa urwiska Alp Zachodnich, należące do największych bezsprzecznie problemów sportowego alpinizmu: w dniach 21—24 lipca Niemcy, Heinrich Harrer, Andreas Heckmair, Fritz Kasparek i Ludwig Vörg zdobyli najwspanialszą pod każdym względem ścianą alpejską, *północną ścianę Eigeru* (3974 m) w Alpach Berneńskich — a w niedługi czas po tym najlepszym z sukcesów sportowego alpinizmu Włosi, Riccardo Cassin, Gino Esposito i Ugo Tizzoni pokonali, w dniach 4—6 sierpnia, jako pierwsi *północny filar Pointe Walker* (4208 m), stanowiącego najwyższy wierzchołek *Grandes Jorasses* w łańcuchu Mont Blanc. Oba sukcesy posiadają dla alpinizmu zupełnie wyjątkowe znaczenie.

*

Północna ściana Eigeru — prawie 1700-metrowe urwisko lodowo-skalne o wielkich trudnościach i stromiźnie — stała się w ostatnich latach terenem największych walk sportowego alpinizmu, a zarazem natragiczniejszych w Alpach wypadków górskich. Zaatakowana została po raz pierwszy w 1934 r. przez Niemców, W. Becka oraz G. i K. Löwingerów, którzy dotarli na wysokość okna skalnego stacji Eigerwand kolei zębatej, przebiegającej tunelem wewnątrz masywu Eigeru. Próbę zakończył wypadek, na szczęście jednak wspinaczy wyratowała wyprawa ratunkowa, która wtrawersowała w ścianę z okna stacji Eigerwand[1]). Ale już przez następne dwa lata, w czasie których ściana urosła do rangi największego problemu alpejskiego, „Eigerwand" zdobywa sobie smutną sławę najmakabryczniejszego w dziejach alpinizmu urwiska. W 1935 r. giną w burzy śnieżnej podczas odwrotu spod ściany szczytowej monachijczycy, K. Mehringer i M. Sedlmayr. W roku następnym znajdują w ścianie równie straszną śmierć Niemcy A. Hinterstoisser i A. Kurz oraz Austriacy W. Angerer i E. Rainer, a ich pełna grozy walka o życie — również podczas cofania się w najfatalniejszych warunkach atmosferycznych spod szczytowych urwisk ściany — wywarła wstrząsające wrażenie w kołach alpinistycznych i za pośrednictwem goniącej za sensacją prasy zyskała sobie bardzo szeroki rozgłos. Wspominam o tych tragicznych wydarzeniach tylko ogólnikowo, pisałem bowiem o nich dokładnie w „Tat." XXI, 29-30. Dla dopełnienia całości należy też przypomnieć, że tragedia z 1936 r. spowodowała jedyny w swoim rodzaju zakaz urzędowy: wydany przez władze szwajcarskie zakaz atakowania pn. ściany Eigeru, po niedługim zresztą czasie zniesiony (p. „Tat." XXI, 30, 102)

Po odwołaniu sławetnego zakazu, w lipcu 1937 r. rozpoczęły się nowe ataki na największy problem Alp. Najpierw przypuścili szturm A. Heckmair i Th. Lösch, nie osiągając zresztą znaczniejszej wysokości. Po nich zaatakowali ścianę R. Fraisl i towarzysze; dotarli do wys. ok. 2700 m. Zespół Zimmermanna i tow. posunął się o 100 m wyżej, a Loulou Boulaz (pierwsza kobieta w ścianie!) i Pierre Bonnant zawrócili (21 lipca) z wys. ok. 2700 m, również z powodu złej pogody.

[1]) Próba ta została pominięta w artykuliku o pn. ścianie Eigeru, zamieszczonym w „Tat." XXI, 29.

Wreszcie w sierpniu 1937 r. doszedł do skutku atak przeprowadzony doskonale przez L. Vörga i M. Rebitscha. Dwie pierwsze próby wykonali jeszcze w lipcu: pierwsza zakończyła się u stóp tzw. „Rote Flüh", a druga już na tym murze skalnym, po pokonaniu „trawersu Hinterstoissera". Podczas swego sławnego ataku, dokonanego w dn. 11—14 sierpnia (por. „Tat." XXII, 19), obaj monachijczycy przekroczyli najwyższy punkt osiągnięty w r. 1936 przez A. Kurza i tow. i posunęli się jeszcze 100 m wyżej. Pierwszy biwak nastąpił powyżej „trawersu Hinterstoissera". Nazajutrz, 12 sierpnia, po południu pogoda zepsuła się. O godz. 17 postanowili zawrócić, ale mimo to jeszcze zdołali wykonać rekonesans do miejsca, gdzie charakterystyczne pole lodowe najwyżej podchodzi pod skalną zerwę 600-metrowej ściany szczytowej (3350 m), a nawet posunęli się jeszcze dalej, bo aż ku samej grzędzie, która ogranicza z l. strony ową ścianę szczytową. Następuje odwrót; drugi biwak spędzają Rebitsch i Vörg w deszczu na wys. 3200 m, trzeci na miejscu pierwszego. 14 sierpnia, tj. czwartego dnia wspinaczki schodzą do stóp ściany jako pierwsi, którzy cali, zdrowi i o własnych siłach powrócili spod samej ściany szczytowej. Był to pierwszy wyłom w narastającej już legendzie ściany.

Sezon 1938 r. rozpoczął się jednak znowu od wypadku. Tym razem ofiarami jego padli dwaj młodzi włoscy wspinacze, Mario Menti i Bertolo Sandri, którzy 23 czerwca zaatakowali ścianę i już w nocy zaskoczeni zostali przez burzę z piorunami, odpadając wskutek lawiny na wysokości stacji Eigerwand. Ciało Sandriego znaleziono nazajutrz u stóp ściany.

Tymczasem w miesiąc później ściana została wreszcie pokonana.

W czwartek, 21 lipca wyruszyło na jej zdobycie czterech wiedeńczyków: Kasparek, Harrer, Fraisl i Brankowski. W dość szybkim tempie przebyli dolne partie ściany, po pokonaniu których spotkali w urwisku, 700 m ponad piargami, niespodziewanych konkurentów. Byli niemi Heckmair i Vörg. Ci dwaj mieli już poza sobą ciężką pracę przerąbywania szlaku przez zalodzone partie ściany i gdy na domiar złego barometr zaczął opadać — srodze już pomęczeni, postanowili puścić naprzód dwie wiedeńskie dwójki, które też zaraz ruszyły w dalszą drogę.

W jakąś godzinę później poszła w ścianie lawina kamienna i jeden kamień dotkliwie uderzył w stopę Fraisla. Nie było rady: Fraisl i jego towarzysz na linie, Brankowski, musieli porzucić myśl o dalszej wspinaczce i wycofać się ze ściany. Tak więc w rezultacie Harrer i Kasparek pozostali sami na „placu boju". Po całym dniu ciężkiej pracy osiągnęli wys. 3100 m, powyżej „Rote Flüh" i tam zabiwakowali spędzając noc w niewygodnym miejscu i śpiąc najwyżej pół godziny.

Nazajutrz tempo ich znacznie osłabło i przerąbywanie się ukosem przez górne pole lodowe trwało od ranka aż do drugiej po południu. Tymczasem Heckmair i Vörg spędzili noc daleko wygodniej, toteż, dysponując zarówno świetną znajomością ściany jak i przerąbanym już przez lodowe partie szlakiem, zdołali dogonić wiedeńczyków przy samym końcu pola śnieżnego u stóp urwisk szczytowych. Decydującą rolę w decyzji ponownego zaatakowania ściany odegrało dla monachijczyków pozostanie na „polu walki" — po wycofaniu się Fraisla i Brankowskiego — tylko jednej dwójki. Odbywanie szturmu we czwórkę kryło w sobie o wiele mniej niebezpieczeństwa i nie groziło komplikacjami, jakie mogłyby wyniknąć przy jednoczesnym posuwaniu się szóstki na niebezpiecznej z powodu kamiennych lawin ścianie. Zawarto oczywiście porozumienie, w wyniku którego dalsze prowadzenie w ścianie objął Heckmair [2]).

Biwak z dnia 22 na 23 lipca oba zespoły odbyły już wspólnie na początku grzędy

---

[2]) „Die Freude war auf beiden Seiten gross. Man schloss sofort Freundschaft und vollzog, wie man scherzhaft erklärte, nunmehr auch den Anschluss hoch in der Eigerwand, Bergkameraden aus dem Altreich zusammen mit Kameraden aus der Ostmark zur ersten grossdeutschen Partie vereint" — napisał „Völkischer Beobachter" w nrze z dnia 26 lipca 1938 r.

EIGER (3974 m) – PÓŁNOCNA ŚCIANA

(Fot. R. Schudel) *)



——————— Droga pn. ścianą. (**a** = wejście w ścianę zespołu Heckmair-Vörg; **b** = wejście w ścianę zespołu Harrer-Kasparek; **1, 2, 3** = biwaki).

- - - - - - - - Próba zespołu Mehringer-Sedlmayr w 1935 r. (**a** = wejście w ścianę; **x** = najwyższy osiągnięty punkt).

—·-·-·— Próba zespołu Angerer-Hinterstoisser-Kurz-Rainer w 1936 r. (**b** = wejście w ścianę; **I, II, III** = biwaki; **II** = najwyższy osiągnięty punkt; **†** = miejsce katastrofy).

R = „Rothe Fluh". **G** = „Gelbe Wand".

*) Zdjęcie reprod. z „Alpine Journal", nr 253 (listopad 1936 r.).

GRANDES JORASSES — PÓŁNOCNA ŚCIANA

(Fot. G. Oberlin) *)



1. Pointe Walker (4208 m).
2. Pointe Whymper (4184 m).
3. Pointe Croz (4110 m).
4. Pointe Hélène (4045 m).
5. Pointe Margherita (4066 m).
6. Pointe Young (3996 m).

- - - - - - - - Droga z 1935 r. (Martin Meier i Rudolf Peters, 28-29.VI).

——————— Droga z 1938 r.

Kółkami oznaczono miejsca biwaków.

*) Zdjęcie reprod. z „La Montagne", nr 273 (listopad 1935 r.).

ograniczającej od l. strony pionową partię ściany szczytowej, tzw. „Gelbe Wand" (Żółtą ścianę"). 23 lipca był dniem wielkich wysiłków; pokonanie grzędy nastręczyło ogromne trudności techniczne; prowadził Heckmair. Tego dnia nie udało się już dokończyć ściany i po przetrawersowaniu w prawo przez ośnieżone płaśnie na małe pole śniegu, już ponad „Żółtą Ścianą", musiano zabiwakować po raz trzeci, nieco powyżej owego pola (tzw. „Spinne"). W nocy zaczął padać śnieg, chmury i mgły przysłoniły Eiger przed oczyma tych, którzy na dole pełni niepokoju wyczekiwali wieści o czterech „Eigermanach". Ci tymczasem — mimo mgły i burzy, która rozpętała się w ciągu dnia — posuwają się wciąż wyżej ku lewej stronie, wzdłuż depresji żłobiącej się w szczytowych urwiskach i wreszcie osiągają grań, która dzieli pn. i pn-wsch. ściany szczytowe. Jeszcze niewielki odcinek łatwej śnieżnej grani i o godz. 16 jako zwycięzcy stają na wierzchołku.

W cztery godziny później, gdy na dole już zwątpiono w szczęśliwe zakończenie wyprawy, czterej triumfatorzy cali i zdrowi zjawiają się w hotelu stacji Eigergletscher, gdzie tłum alpinistów i wycieczkowiczów głośno wiwatuje na cześć zdobywców najsławniejszej ściany alpejskiej. Potem bankiet z toastami, na które zdobywcy odpowiadają krótko: „Heil Hitler!". Potem telegramy gratulacyjne: od namiestnika Austrii (Ostmark), a zarazem obecnego prezesa Deutscher Alpenvereinu, dra Artura Seyss-Inquarta, od „Reichssportführera", sekretarza stanu von Tschammer und Osten i od samego Adolfa Hitlera, który przyjmuje na audiencji uszczęśliwionych zdobywców i wręcza im swe portrety, zaopatrzone własnoręczną dedykacją. W naczelnym prasowym organie hitlerowskim, „Völkischer Beobachter" (z dnia 26 lipca) na pierwszej stronie triumfalny artykuł pt. „Der deutsche Bergsieg am der Eiger-Nordwand". Honory i zaszczyty, doskonale zresztą charakteryzujące popularność alpinizmu, który w Niemczech jest w całej pełni „sportem narodowym".

*

Północna ściana Grandes Jorasses tworzy 2 km szeroki mur lodowo-skalny opadający od czterech wierzchołków Grandes Jorasses zerwami dosięgającymi 1200 m wysokości [3]). Wśród wyodrębniających się żeber pn. ściany, najpotężniejszy ze wszystkich pn. filar głównego wierzchołka, Pointe Walker (4208 m), pierwszy zwrócił uwagę alpinistów. Jeszcze w latach przedwojennych pierwszych prób dokonał na nim znakomity G. W. Young z drem K. Blodigiem i przew. J. Knubelem. Ale był to eksperyment wyprzedzający swoją epokę w równym stopniu, jak próba Zsigmondy'ego na pd. ścianie Meije; nie przyniósł też żadnego godnego uwagi rezultatu. Pierwsze poważne ataki przypadły dopiero na epokę nowoczesnego alpinizmu. 10 sierpnia 1928 r. podejmują próbę L. Gasparotto, A. R. Herron i P. Zanetti w tow. przewodników Armanda Charleta i Evariste Crouxa. Przebyto wówczas szczelinę brzeżną na pr. od filara, w sąsiedztwie wielkiej, lodowej u dołu a lodowo-skalnej w wyższych partiach depresji żłobiącej się między filarami Pointe Walker i Pointe Whymper. Piątka ta przetrawersowała ukosem w l. strome spady lodowe i osiągnąwszy filar posunęła się jego l. (wsch.) stroną do wysokości 3350 m. W niecałe 4 godziny drogi od szczeliny brzeżnej próba załamała się zaraz powyżej wielkiej, skrajnie trudnej rysy.

---

[3]) Są to — licząc ze wsch. na zach., od głębokiej Col des Hirondelles (3456 m), oddzielającej masyw Grandes Jorasses (na zach.) od Pointe des Hirondelles, po Col des Grandes Jorasses (3825 m) — Pointe Walker (4208 m), Pointe Whymper (4184 m), Pointe Michel Croz (4110 m) i najniższy, zach. wierzchołek, Pointe Margherita (4066 m). Pomiędzy P. Croz a P. Margherita wyodrębniają jeszcze wyniosłość graniową zw. Pointe Hélène (4045 m), a na zach. od P. Margherita turnię zw. Pointe Young (3996 m). Szczegóły te podaję tak drobiazgowo, chcąc przy okazji sprostować bałamutne informacje, zawarte w ogłoszonym, jeszcze w XX r. „Taternika", artykule pt. „Sensacje alpejskie"; imiennictwo masywu Grandes Jorasses, a w wyniku tego również szczegóły historyczne uległy tam znacznemu wypaczeniu.

Dalsze ataki przynosi dopiero rok 1932. W czerwcu próbują szczęścia Lino Binel i Almicare Cretier, w lipcu G. Boccalatte i R. Chabod, wreszcie 20 sierpnia E. Benedetti i znów Cretier z L. Carrelem i P. Maquignazem. Bez rezultatu. Filar Pointe Walker coraz bardziej wydaje się być niedostępny.

W międzyczasie jednak próbowano „ugryźć" również i środkowy filar pn. ściany, opadający w linii spadku Pointe Croz (4110 m), i gdy próba, której 14 sierpnia 1933 r. dokonali G. Gervasutti i P. Zanetti, wykazała na nim większe możliwości, tam skierowane zostały wszystkie następne ataki. Po zdobyciu jednak w 1935 r. pn. filaru Pointe Croz, znów zerwy Pointe Walker przyciągnęły uwagę alpinistów, tym więcej że droga nań, jako prowadząca na główny wierzchołek Grandes Jorasses, miałaby najwięcej cech wielkości. W lipcu 1937 r. dokonali rekonesansu P. Allain i E. Frendo, jednakże zła pogoda przeszkodziła osiągnięciu wybitniejszego rezultatu. W roku 1938 pierwszej próby dokonują znów Francuzi, P. Allain i J. Leininger. 1 sierpnia atakują filar w jego najniższym punkcie i koło południa, pokonawszy ową skrajnie trudną rysę przy pomocy 4 haków, stają w miejscu, do którego dotarła w 1928 r. partia Charleta i tow. Cofają się jednak w obawie, że zbytnie olodzenie ściany nie pozwoli na dostatecznie szybkie zdobywanie wysokości.

Tymczasem trzyosobowy zespół włoski — Cassin, Esposito i Tizzoni — przybywa do... Grindelwald z zamiarem pokuszenia się o pn. ścianę Eigeru. Ale w okół już rozbrzmiewa triumfalnym rozgłosem zwycięstwo Niemców. Następuje zmiana marszruty i w parę dni później wyprzedzona przez Niemców na Eigerze trójka włoska przybywa do Courmayeur, by powetować sobie tamten zawód ewentualnym sukcesem na Grandes Jorasses. 4 sierpnia wchodzą oni w urwisko pn. filaru Pointe Walker i pokonawszy pod koniec dnia (tym razem użyto już 12 haków!) wspomnianą parokrotnie, skrajnie trudną rysę, biwakują o 50 m powyżej rysy, na wys. 3400 m. Nazajutrz kontynuują drogę pokonując wielkie trudności na wsch. stronie filara, po czym o 200 m wyżej powracają na jego grzbiet na przełączce oddzielającej tkwiącą w filarze okazałą turnię. Po południu już przebywają ukośnie w l. (znów przy pomocy licznych haków) 60-metrową skrajnie trudną ścianę, powyżej której, o godz. 14 zatrzymuje ich na 3 godziny niepogoda. Drugi biwak nastąpił na wys. 3800 m. Niepogoda przedłuża się przez noc, rano jednak, wykorzystując chwilowe przejaśnienia, Włosi posuwają się grzbietem filara do samego wierzchołka, na którym stoją o godz. 14. Triumfalny powrót nie był jednak tak szybki, jak dla zdobywców pn. ściany Eigeru. Po południu przychodzi burza i zatrzymuje Włochów, już podczas zejścia zwykłą drogą, na trzeci biwak, toteż dopiero w niedzielę, 7 sierpnia o godz. 17 i pół Courmayeur dowiaduje się o sukcesie [4]). Owacje, jakie spotykają zdobywców, równają się niemal tym, jakich doznali zdobywcy pn. ściany Eigeru.

*

Echa zeszłorocznych zdobyczy na północnych ścianach Eigeru i Grandes Jorasses — mówię oczywiście o opinii europejskich kół alpinistycznych — brzmią na ogół zgodnie. Oceniając oba sukcesy jako największe i najpiękniejsze z dotychczasowych w Alpach Zachodnich, europejska opinia alpinistyczna równie zgodnie widzi w nich niejako kulminacyjny punkt epoki tego najnowszego alpinizmu sportowego, któremu drogę wzwyż otworzyły w Alpach Zachodnich znakomite sukcesy roku 1930 i następnych. „Wskazują one, w moim pojęciu — pisze w „Alpinisme" jego redaktor, Lucien Devies — pełne zamknięcie okresu alpinizmu, rozpoczętego w 1930 r. zwycięstwem technicznym na

[4]) Warto dodać, że dowiedziawszy się o wyruszeniu Cassina i tow. na pn. filar Pointe Walker, 6 sierpnia weszli w skały filara G. Gervasutti i Ottoz w nadziei dogonienia poprzedników i połączenia się z nimi. Dotarłszy jednak do wys. 3350 m — powyżej skrajnie trudnej rysy — zawróceni zostali przez tę samą burzę, która w drodze powrotnej dopadła jeszcze zdobywców pn. ściany Pointe Walker.

pd. grani Aiguille Noire de Peuterey i w 1931 r. zwycięstwem psychologicznym na pn. ścianie Cervin". A redaktor „Österreichische Alpenzeitung" otwiera dyskusję nad tym przedmiotem, lapidarnym i jakże wymownym twierdzeniem, że „zdobyciem pn. ściany Eigeru sportowy podbój Alp został praktycznie zakończony". I proszę tylko zwrócić uwagę, że po otwarciu tego okresu alpinizmu, którego zakończeniem mają być czołowe zdobycze 1938 roku — tj. po pokonaniu w 1931 r. pn. ściany Matterhornu, Alfred Steinitzer napisał głośny artykuł, którego sam tytuł mówił już wszystko: „Das Matterhorn als Symbol des Anfangs und — des Endes" — „Matterhorn jako symbol początku i — końca" [5]). Napisał to przedstawiciel minionego, klasycznego okresu alpinizmu. Dzisiaj jakże podobne w istocie zdania głoszą współtwórcy tego, co było kontynuacją owego „symbolu początku i końca". A przecież wtedy, siedem lat temu, jakże namiętnie napadnięto na Steinitzera za złowieszcze przepowiednie!... A sytuacja jest jasna. „Alpinizm niewątpliwie stoi przed głębokimi decyzjami" — jak wyraził się jeden z przedstawicieli młodego pokolenia wspinaczy. Jest więcej niż wątpliwe, czy alpinizm sportowy zdoła kiedykolwiek wywalczyć w Alpach sukcesy bardziej wartościowe od pn. ściany Eigeru. Pozostają jeszcze z największych urwisk zachodnioalpejskich nieliczne dziewicze, czekające na *zdobywców*. Ale rozmiarami żadna nie dorówna zerwie Eigeru. Ani zapewne trudnościami technicznymi. Ani niebezpieczeństwem. Bo zwróćmy uwagę, że z dziewiczych ścian górskich jedne doczekają się jeszcze *zdobywców*, ale inne raczej — *pokonanych*. Czy „padnie" kiedy pn. zerwa Pointe Whymper w tych samych Grandes Jorasses, w których drogę z 1938 r. uznano za osiągalny w tym murze skalno-lodowym rekord? Czy olbrzymie niebezpieczeństwo lawin nie wykluczy w ogóle możliwości zdobycia tej ściany? Lucien Devies — mimo zacytowanej już opinii o znaczeniu ostatnich sukcesów — usiłuje dowieść, że nie negując ich rekordowości (że użyję tego określenia), trudno nie uznać, że nie stanowią one istotnego postępu technicznego, i że w alpiniźmie „dalszy krok naprzód pod względem technicznym nie zostanie zrobiony dopóty, aż zatriumfuje się nad zach. ścianą Dru!". „Złudna to pociecha! — zauważa jednak słusznie w w XVI r. „Wierchów" J. A. Szczepański. — Zachodnie urwisko Dru jest jednym z tych ścięć, które, bodaj na jednej części góry, realizują mallorystyczny „ideał góry niepokonalnej". Stoi ono poza praktyką alpinizmu, który bez względu na takie uciosy jak ściana Dru może rozwijać się lub cofać. Bliższa prawdy jest pociecha inna: Alpy są tak duże, iż epoka schyłkowa, *Detailerschliessung*, potrwa tu jeszcze długo, cały szereg lat".

Abstrahując jednak od homeryckiej wizji, chyba poza granicami możliwości sukcesu stojących bojów o ściany w stylu zach. zerwy Dru — większą pociechę znaleźć można w stwierdzeniu innego czynnika, który z taką siłą uwypukla się w osiągnięciach alpinizmu sportowego ostatnich lat. Zwraca na nią pośrednio uwagę L. Devies w tymże wrześniowym zeszycie „Alpinisme" z 1938 r., z którego już parokrotnie zacytowałem. Ale nie wyciąga pełnych konsekwencji. Czynnikiem tym jest podniesiona do niebywałych wyżyn sprawność i tężyzna fizyczna i *moralna* ludzi wywalczających dziś największe alpejskie sukcesy. One to pozwalają na wspaniałą walkę — nawet w niekorzystnych warunkach, w burzy i śnieżycy, borykać się przez trzy czy cztery dni z trudnościami gór — i zwyciężać! A zarazem — przyjmując w nich za Deviesem nieobecność czynnika czystego postępu technicznego — musimy w nich widzieć wyraźne przesunięcie w alpiniźmie miernika wartości z momentu technicznego na moment *psychiczny*. Na tej drodze, być może — przy odsunięciu siłą rzeczy na plan drugi czynnika trudności technicznych, a wydobyciu maksimum czynników psychicznych — tkwi podstawa dla przyszłej nadbudowy ideologicznej alpinizmu. Bodaj czy nie wtedy, gdy odpadnie (jeśli w istocie już nie odpadła) możliwość pogoni za nowym rekordem technicznym, nastąpi niejako uszlachetnienie pobudek ciągnących człowieka do walki ze skałą i lodem.

---

[5]) „Mitteilungen des D. u. Ö. A.-V." z lutego 1932 r.

Ale wpierw musi minąć „Detailerschliessung". Reszty dokona w psychice alpinistów czas.

My jednak tego nowego podejścia do alpinizmu na pewno nie stworzymy. Wyjdzie ono z serc naszych następców — i tylko oni zdolni będą stworzyć w alpinizmie istotnie nowy okres.

Zdzisław Dąbrowski

P. S. Na tle znaczenia, jakie dla alpinizmu przedstawiają zdobycze na pn. ścianach Eigeru i Pointe Walker, niemniej istotną iest kwestia — kim są ci, którym te wspaniałe osiągnięcia zawdzięczamy. Dla dopełnnienia całości tematu, którego *twórcami* byli właśnie ci ludzie, niepodobna nie powiedzieć o nich choć kilku słów; wszyscy oni należą zresztą do elity alpinistycznej swych narodów i nazwiska ich nieraz były notowane w kronikach „Taternika".

Andreas Heckmair, rodem z Monachium, jest dobrze znany kołom alpinistycznym. W dorobku swoim ma 5. wejście drogą Solledera i Lettenbauera na pn.-zach ścianie Civetty i 2. wejście wsch. ścianą Sass Maor (w 1930 r.), atak na pn. ścianę Grandes Jorasses i 2. przejście wprost skalno-lodowym pn. urwiskiem Grands Charmoz (w 1931 r.); w r. 1937 szturmował pn. ścianę Eigeru.

Ludwig Vörg, również monachijczyk, brał udział w dwóch wyprawach w Kaukaz Centralny, gdzie w 1935 r. brał udział w słynnym 2. trawesowaniu Użby, zaś w 1936 r. w 1. przejściu olbrzymiej zach. ściany tego szczytu. W 1937 r. w tow. M. Rebitscha dokonał 3. wejścia wprost pn. ścianą Gross-Fiescherhornu i — głównie — najbardziej zaawansowanego ataku na pn. ścianę Eigeru.

Heinrich Harrer, wiedeńczyk, przebył cały szereg wielkich i sławnych z trudności dróg alpejskich, z których na pierwszym miejscu należy wymienić drogę Solledera i Lettenbauera na pn.-zach. ścianie Civetty.

Fritz Kasparek, także wiedeńczyk, ma w swoim dorobku górskim najtrudniejsze drogi Alp wapiennych: 1. wejście pn. ścianą Dachlu w 1933 r., „żółtą grań" Cima Piccola di Lavaredo i pn. ścianę Cima Grande w 1934 r., 2. wejście „diretissimą" Comiciego i Benedettiego na pn. ścianie Laliedererspitze w 1936 r., a w marcu 1938 r. 1. zimowe wejście pn. ścianą Cima Grande di Lavaredo.

Zdobywcy pn. ściany Pointe Walker pochodzą z Lecco, ostrogi alpinistyczne zdobywali w sławnej włoskiej szkole alpinizmu w Grigne, a potem piękne sukcesy wspinacze uzyskiwali w Dolomitach i w grupie Bregaglia-Masino. Riccardo Cassin np. przebył w 1934 r. „żółtą grań" Cima Piccola i pn. ścianę Cima Grande di Lavaredo oraz zdobył nową drogę na Cima Piccolissima. W 1935 r. dokonał 3. wejścia drogą Comiciego i Benedettiego na pd. urwiskach Civetta i stał się zdobywcą dwóch najtrudniejszych w Dolomitach dróg: pd.-pd.-wsch. granią Torre Trieste i pn. ścianą Cima Ovest di Lavaredo. W roku 1937 prowadził podczas głośnego, wiadomo w jak ciężkich warunkach odbytego 1. wejścia pn.-wsch. ścianą Piz Badile. Jednym z jego towarzyszów był właśnie Gino Esposito. W spisie wypraw Ugo Tizzoniego znajdujemy tak wspaniałe pierwsze wejścia, jak wsch. ścianą Punta Allievi i pd. granią Monte di Zocca w otoczeniu Doliny Masino.

Z. D.

ANDY I ANDYNIZM

PRZEGLĄD ALPINISTYCZNO-HISTORYCZNY *)

3. KORDYLIERY GŁÓWNE

B. System boliwijski.

Na Cordillera de Apolobamba kończy się skomplikowany i tak bogaty w mało znane łańcuchy górskie świat peruwiańskich Kordylierów Głównych; następne ku pd.-wsch. Cordillera Real — *Główne* a nie „Królewskie", jak zwykło się u nas pisać — należą już do drugiej, boliwijskiej części pasma Kordylierów Głównych, stanowiąc zresztą jego część najważniejszą.

*) Poprzednie części niniejszej pracy zamieszczone zostały w „Taterniku" XXII, 145—153. (Wstęp. — Uwagi ogólne. — 1. Kordyliery Północne. — 2. Kordyliery Równikowe). oraz XXIII, 5—12 (3. Kordyliery Główne: A. System peruwiański).

Warunki klimatyczne zbliżają **Cordillera Real** do Kordylierów Apolobamba (granica wiecznego śniegu przebiega na wys. 5200—5300 m, lodowce schodzą do 4800 m.), warunkami terenowymi ustępują jedynie (i to nieznacznie!) Kordylierom Białym i Kordylierom Huayhuash. Wznosi się tu bowiem szereg szczytów ponad 5 i pół tysiąca m wys. oraz 12 szczytów sześciotysięcznych; a szczytom tym nie brak ani trudno dostępnych ścian i grani, ani urwistych turni. Długość łańcucha wynosi ok. 200 km.

Podobnie jak położenie Aconcagua w stosunku do głównego szlaku z Argentyny do Chile, uprzywilejowane jest położenie Cordillera Real w stosunku do najludniejszego centrum Boliwii: główny szczyt Cordillera Real, Illimani, wznosi się zaledwie 35 km w linii prostej od stolicy Boliwii, miasta La Paz. Jeszcze bardziej alpiniście i badaczowi zbliżają te góry kopalnie, które wdzierają się w posad gór niemal do 5000 m i połączone są dobrymi drogami jezdnymi z resztą kraju.

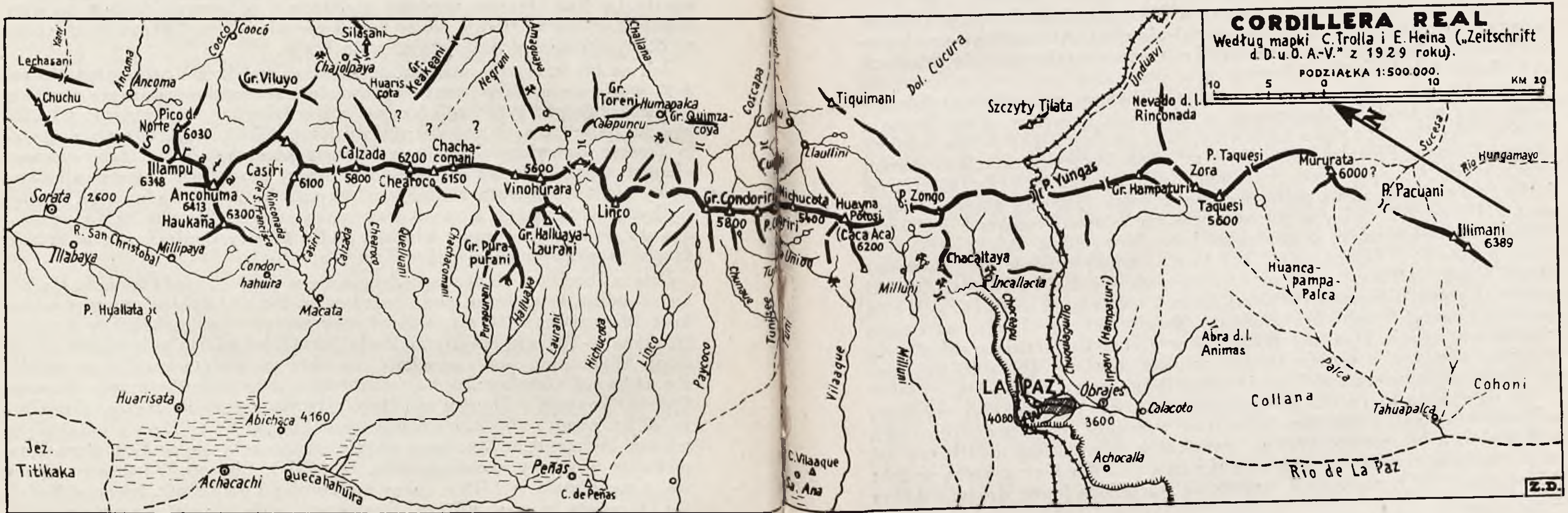
Jak na tak korzystne warunki podejścia, Cordillera Real, można stwierdzić, wcale nie zostały jeszcze odpowiednio szczegółowo poznane i ani się równać mogą pod tym względem np. z Kordylierami Centralnymi. Chociaż bowiem najwyższe ich szczyty zostały już parokrotnie zwiedzone, pozostało jeszcze dziewiczymi wiele wybitnych wierzchołków. Toteż wyprawa alpinistyczna, która by się tu w najbliższej przyszłości skierowała, mogłaby nie mieć jeszcze charakteru przyczynkowego i zadania jej mogłyby być równie ważne, a nawet ważniejsze od tych, które w 1934 r. spowodowały wysłanie wyprawy włoskiej w Kordyliery Centralne, a w 1936 r. drugiej wyprawy niemieckiej w Kordyliery Białe.

Dzieje Cordillera Real rozpoczynają się w 1827 r., kiedy to J. B. Pentland odbył swą głośną podróż andyjską. Pentland wymierzył wysokość Illimani (na 6455 m) i odkrył inny szczyt — najpiękniejszy z całego łańcucha — Illampu (zwany niekiedy Sorata, od miasta położonego u jego stóp). Wyliczając jego wysokość na 6617 m, zdegradował tym samym Pentland Chimborazo ze stanowiska najwyższego szczytu Nowego Świata. (Zresztą i Illampu nie długo cieszyło się swoją sławą, skoro już w 1835 r. pomiar oficerów argentyńskiej komisji Fitz Roya przyznał to miejsce Aconcagua). Znacznie później rozpoczęły się w Cordillera Real pierwsze wyprawy wysokogórskie. W 1877 r. Charles Wiener próbuje wejść na Illimani, w 1878 r. znany meteorolog i podróżnik, Niemiec Rudolf Falb osiąga tu wys. 5075 m. Pierwszym ściśle alpinistycznym przedsięwzięciem w Cordillera Real jest wyprawa Conwaya. Sir William Martin Conway, późniejszy lord of Allington (1856—1937), jeden z najwybitniejszych wczesnych andynistów, działał w Cordillera Real w lecie (andyjskim) 1898-9, atakując Illimani oraz szczyt Ancohuma, o którym stwierdził, że jest najwyższy z całego pasma. Na Ancohuma osiągnął wys. 6250 m, więcej powodzenia miał na Illimani: dnia 9 grudnia 1898 r. zdobył pn., jeden z dwu głównych wierzchołków szczytu; prowadzili go przywiezieni ze Szwajcarii przewodnicy A. Macquinaz i L. Pellisier[1]. Na temat piękności Illimani pełno u Conwaya słów zachwytu; powtarzają je i inni, którzy poznali ten masyw i tak Illimani, niby drugi Matterhorn, znalazł się w rzędzie „najpiękniejszych szczytów świata".

---

[1]) O swej wyprawie Conway drukował wiele w angielskich czasopismach (także w „The Geographical Journal" i w „Alpine Journal"), dla celów praktycznych wystarczy wszakże zacytować tylko jego obszerną książkę: *Climbing and explorations in the Bolivian Andes* (London and New York, 1901).

Cztery najwyższe szczyty Cordillera Real: Ancohuma (najwyższy szczyt Boliwii), Illimani, Illampu i Haukaña liczą wedle nowych pomiarów kolejno 6413 m, 6389 m, 6348 m i ok. 6300 m. Ale bardzo długo inne przypisywano im wysokości: 6500 — 6800 m (Illimani), 6640 m (Ancohuma i Illampu) i 6500 m (Haukaña)[2]. Jest to szczególnie pouczający przykład obserwowanego niemal we wszystkich górach egzotycznych zjawiska: zbyt wysokiego w pierwszych pomiarach szacowania wysokości odkrywanych czy zdobywanych szczytów, którą późniejsze, bardziej precyzyjne obliczenia obniżają często o 200 — 300 m, czasem o 500 m, a zdarzały się i większe różnice: jest to w alpiniźmie odkrywczym paralela do obserwowanego nieraz w alpiniźmie sportowym zbyt wysokiego szacowania trudności drogi



skalnej przez zdobywców, którą dopiero następcy sprowadzają do właściwej miary.

W 1904 r. wyrusza na Ancohuma („fetysz wysokości") Miss P e c k. W tym samym roku w styczniu pojawia się w Cordillera Real i przechodzi parę niższych przełęczy w okręgu Illimani Henry H o e k, pierwszy Niemiec z długiej listy tych pracowników niemieckich w Boliwii, którzy bądź jako badacze naukowi, bądź jako inżynierowie i właściciele wysoko położonych kopalń mieli chęć i możność zwiedzania gór kraju i dla ich poznania położyli zasługi największe. O ile chodzi o Cordillera Real, główne nasilenie tego niemieckiego ruchu alpinistyczno-odkrywczego przypada na okres wojny światowej: zebrała się wówczas w La Paz cała grupa dobrych alpinistów, której przewodził Adolf S c h u l z e, głośny z wypraw kaukazkich i popularnie nazywany „Użba-Schulze". Dnia 29 maja 1915 roku

[2]) Polskie źródła jeszcze dziś podają dla Illampu 6617 m, a dla Ancohuma 6500 m wys.

S c h u l z e — i jego tow.: Eugen B e n g e l, Rudolf D i e n s t i Eduard O v e r l a c k — dokonują 2. wejścia na Illimani, nową drogą przez Illimani Negro (5500 m), przy czym zostaje również zdobyty pd., zapewne główny wierzchołek Illimani. Wyprawa ta, zakończona zatknięciem flagi niemieckiej na najpopularniejszym szczycie Boliwii, pociągnęła za sobą nieoczekiwane skutki: gazety i opinia publiczna zwróciły się ostro przeciwko Niemcom, najpierw zarzucając im kłamstwo, a później — gdy pewien ksiądz wypatrzył przez lunetę powiewający na wierzchołku dowód prawdy — po prostu jakieś zamiary aneksyjne! Ataki przybierały wciąż na gwałtowności — podobno podsycała je kolonia angielska — nietaktowni bezsprzecznie zdobywcy przycichli (co było w danym wypadku najlepszą metodą), miał im nawet grozić napad ze strony wzburzonego tłumu. Jeszcze w szereg lat po wojnie skarżą się D i e n s t i H e r z o g[3]) na ówczesną nienawiść „aliantów", która nawet w Boliwii i nawet alpinistów niemieckich dosięgała. O dalszej akcji odkrywczej w Boliwii nie było chwilowo mowy, że jednak gniew Południowych Amerykanów nie trwa długo, najlepszy dowód w tym, iż już w kwietniu 1916 r. mogli B e n g e l i D i e n s t zaatakować jeden z głównych szczytów Cordillera Real, Huayna Potosi lub Caca Aca (6220 m), na którym doszli do 5600 m; i najlepszy dowód w tej życzliwości przyjęcia, jakie naród i rząd Boliwii zgotował oficjalnej wyprawie niemieckiej w 1928 r.

W latach wojennych zdobywa S c h u l z e sąsiadujący z Illimani szczyt Mururata (5750 m lub ok. 6000 m), oraz wchodzi na łatwy choć wysoki

[3]) Por. R. D i e n s t: *Bergfahrten in Boliwien*. „Österreichische Alpenzeitung", nry 1055 i 1056, Wien 1926, oraz Th. H e r z o g: *Bergfahrten in Südamerika*" (Stuttgart 1925).

szczyt Tiquimani, nazywany też Taquesi (5600 m). W tym samym okresie Bengel i Dienst zwiedzają bezimienny szczyt 5400 m. W okresie powojennym Dienst i O. Lohse zdobywają ostatecznie (10 maja 1919 r.) Huayna Potosi [4]), w czerwcu 1919 r. Dienst i Schulze wchodzą na Haukaña i zdobywają również Ancohuma [5]), nieco później Schulze, z jednym towarzyszem, zapisuje 2. wejście na Ancohuma. Rozgłos tych powodzeń niemieckich staje się znaczny [6]) — były to wszak pierwsze sukcesy światowego alpinizmu niemieckiego po wojennej klęsce — nic więc dziwnego, że właśnie ku tym górom zwraca się w pierwszym rzędzie uwaga czynników oficjalnych alpinizmu niemieckiego (Niemiecko-Austriackiego Towarzystwa Alpejskiego), gdy w 1928 r. wznawia niemiecką działalność odkrywczą w górach egzotycznych.

Na czele tej wyprawy staje sławny wilk górski Hans Pfann (liczący wówczas 57 lat!), a biorą w niej udział alpiniści, Alfred Horeschowsky, Hugo Hörtnagl i Erwin Hein oraz naukowcy, dr Friedrich Ahlfeld i dr Karl Troll.

Głównym celem wyprawy było zdobycie Illampu, nie tylko najpiękniejszego ale i najtrudniej dostępnego z głównych szczytów. Dnia 20 maja 1928 r. Hein, Horeschowsky, Hörtnagl i Pfann zdobyli sąsiada Illampu, Pico del Norte (6030 m), dnia 7 czerwca stanęli na samym wierzchołku Illampu. Już przedtem, dnia 3 maja Ahlfeld, Hein i Hörtnagl weszli na najwyższy wierzchołek (5400 m) gniazda Hichucota, a Hein i Troll, w połowie maja, na Viluyno-Ancohuma (5600 m). Później zwrócono się ku centralnemu łańcuchowi, gdzie Ahlfeld, Horeschowsky, Hörtnagl i Pfann zdobyli (dnia 19 czerwca) szczyt Casiri (6100 m), a Horeschowsky i Hörtnagl (dnia 25 czerwca) szczyt Chearoco (6200 m). Dnia 2 sierpnia Ahlfeld i Hein weszli na szczyt Vinohurara (5600 m), dnia 5 sierpnia Hein na drugorzędne wzniesienie Llaulluni (5750 m) w grupie Condoriri, a zakończyło wyprawę samotne, a ogółem trzecie, wejście Heina (dnia 26 sierpnia) na Illimani (pn. wierzchołek), a to nową drogą przez pn. grań [7]).

Od tego czasu aż do dni dzisiejszych nie było już większej wyprawy w Cordillera Real. Z mniejszych można wymienić wyprawę Borsiga i Küblera na wiosnę 1929 r., uwieńczoną 1. wejściem na Illimani od zach. (ogółem 4. wejście), wyprawę Heina i E. Webera, która w dniu 15 sierpnia 1930 r. uzyskała 3. wejście na Ancohuma (nową drogą, z doliny

---

[4]) Por. R. Dienst: *Caca-Aca.* „Die Alpen", r. 2, s. 121—127. Bern 1926. — Tenże: *Der Caca-Aca oder Huayna Potosi.* „Der Alpenfreund", r. 6, zesz. 19. München 1925.

[5]) Por. R. Dienst: *Die erste Ersteigung des Ancohuma in Boliwien.* „Der Alpenfreund", r. 6, zesz. 9—10. München 1925.

[6]) Tym niemniej nie zostały nigdzie zestawione syntetycznie, tak że prócz zacytowanych już powyżej w przyp. 3, 4 i 5 źródeł możemy podać dla nich tylko jeszcze dalsze prace Diensta (Schulze był „niepiśmienny"), jak: *Bergfahrten in den bolivianischen Anden.* „Der Bergsteiger", r. 3, s. 47. München 1925; *Berfahrten in Boliwien.* „Zeitschrift des Deutschen und Österreichischen Alpenvereins", t. 57, s. 91—105. Stuttgart 1927 — oraz książkę: *Im dunkelsten Boliwien* (Stuttgart 1926).

[7]) Por. H. Pfann: *Bericht über die Anden - Expedition des D. u. Oe. A.-V.* „Zeitschrift des Deutschen und Österreichischen Alpenvereins", t. 59, s. 5—34, Stuttgart 1929. — A. Horeschowsky: *Erinnerungen an die Andenexpedition 1928*, w książce H. Baumeistera: Menschen im Hochgebirge (München 1933), s. 93—101. — H. Hörtnagl: *In den bolivianischen Anden.* „Die Alpen", r. 6, s. 323—335. Bern 1930. — E. Hein: *Allein über den Illimani - Nordgrat.* „Zeitschrift des Deutschen und Österreichischen Alpenvereins", t. 59, s. 54—58. Stuttgart 1929. — K. Troll: *Anden und Cordillera Real*", tamże, s. 35—53.

Cochipata), wreszcie wyprawy Valentino Pizzotti, który już w marcu 1929 r. dokonał, wraz z G. Cattoretti, 1. wejścia na Pico Italia (5620 m) oraz atakował Huayna Potosi, a w kwietniu 1931 r. wraz z Indianiniem José Quispe wszedł jako drugi turysta na Mururata [8]).

Jak wynika z tego przeglądu, w Cordillera Real pozostało jeszcze sporo do zdobycia. Jeżeli bowiem spojrzymy na mapę Cordillera Real z punktu widzenia alpinistycznego, stwierdzimy, że tylko ich skrajne bastiony (Illampu—Ancohuma na pn.-zach. i Huayna Potosi—Illimani na pd.-wsch.) zostały nieźle poznane (choć i tu nie brak jeszcze nie zdobytych wzniesień, by wymienić choćby środkowy wierzchołek Illimani), z całego zaś masywu centralnego poznano tylko część mniej ważną. Zupełnie nietknięte pozostały tutaj gniazda: Calzada (wierzchołki do 5800 m), Negruni, Linco i Challana, a przede wszystkim dwa najpiękniejsze: Chachacomani — ze szczytami Quelluani i Chachacomani (6150 m) i największymi lodowcami w Cordillera Real — oraz Condoriri (5800 m), „heute wohl das bedeutendste Problem der Cordillera Real" jak napisał Hein [9]), masyw nadzwyczaj nieprzystępny i urwisty.

Doliną Rio La Paz oddzielone są Cordillera Real od następnego ku pd.-wsch. pasma **Cordillera Quimza Cruz** (Trzech Krzyży). Aż do przełęczy Tres Cruces (4615 m) ciągną się Cordillera Quimza Cruz na dług. 60 km, piękne, granitowe pasmo wysokogórskie o charakterze alpejskim, przypominające Cordillera Real, choć w pewnym pomniejszeniu. Góry te i ich wartości alpinistyczne odkrył Henry Hoek jako uczestnik wyprawy geologiczno-topograficznej, podjętej w Boliwii w latach 1903-4 przez Niemców: dra Gustawa Steinmanna i bar. dra A. Bistrama. Wówczas były to góry odludne i od osad ludzkich odległe i takimi pozostały jeszcze przez kilka lat, gdy je zwiedzały następne wyprawy niemieckie (Herzog, Schulze i in.). Ale poszukiwania górnicze za złotem zmieniły sytuację. Złota i srebra wprawdzie nie znaleziono, odkryto jednak pokłady z punktu widzenia dobrobytu i uprzystępnienia kraju jeszcze cenniejsze, mianowicie cynku, które to odkrycie wywołało zupełną zmianę: w głąb dolin wtargnęły kopalnie, za nimi bardzo dobre linie komunikacyjne (aż do górniczych kolejek linowych włącznie!), przy czym posuwano się coraz wyżej. Kapitał anglosaski dał środki materialne i energię kierowniczą, wytrzymałe ludy tubylcze wyżyny boliwijskiej dostarczyły możliwości roboczych — i tak osiągnięto wysokości, o ile chodzi o stałe zamieszkanie i pracę ludzką, rekordowe w skali światowej. Ograniczę się do dwu przykładów: na wys 4710 m powstało kulturalne miasteczko Caracoles, a 50 m pod szczytem Gigante Chico, na wys. 5550 m otwarto kopalnię Laramcota, najwyższą kopalnię świata; z osiedla, położonego pół tysiąca metrów poniżej, wędrują ku niej codziennie robotnicy i pracują 5—6 godzin; ileż wejść sportowych na wysokie góry blednie wobec tego zabójczego i wyniszczającego wysiłku!

Cordillera Quimza Cruz dosięgają 5900 m i posiadają spore lodowce, których obecność powoduje nieprzyjazny klimat, udostępniający te góry tylko w okresie zimowym (lipiec — wrzesień). Dzielą się na pięć grup, które wyliczam poniżej:

---

[8]) Por. V. Pizzotti: *Il Cerro Mururata.* „Rivista mensile del Club Alpino Italiano", t. 46, s. 135—139. Torino 1937.

[9]) Por. E. Hein: *Tropische Kordilleren.* W książce Th. Herzoga: Der Kampf um die Weltberge (München 1934).

Nevados de Araca, malownicze, urwiste góry, które ich odkrywca porównał z Les Aiguilles de Chamonix. Ponad dolinami wznoszą się ok. 3 tysiące metrów. Pierwszy zwiedzał je Hoek, w dniu 10 stycznia 1904 r. wchodząc wraz z tragarzem na drugorzędny szczyt Chancapiña (5386 m)[10]. Gruntowniej zwiedzał je (w końcu września i z początkiem października 1911 r. Theodor Herzog[11]), częściowo wraz ze Szwajcarem C. Seeligiem[12]): obaj alpiniści weszli tu wówczas na Cero Pireo (5300 m) i Cerro Trinidad (5200 m), powtórzyli wejście na Chancapiña oraz jako pierwsi weszli na główny szczyt grupy, Imaculado (5675 m). Przed 1924 r. powtórzył wejście na Imaculado Adolf Schulze, po czym w maju 1924 r., wraz z żoną, Norweżką Ragna oraz F. Ahlfeldem i E. Güntherem zaatakował drugi główny szczyt masywu, Yunque (5600 m): zmuszeni do odwrotu, tak z powodu trudności jak niepogody, powtarzają alpiniści tylko wejścia na niższe szczyty, jak Pireo, Bueno i Trinidad[13]). Inne szczyty grupy — Puntiagudo („Ostry", 5600 m), Torreni de Catalina (5450 m) i in. — nie zostały jeszcze zdobyte, podobnie jak i dwie turnie najurwistsze: Agujon (5500 m) i Obelisco.

Grupa Atoroma, z głównymi szczytami: Virgenes oraz Nevado de Atoroma (5700 m). Na ten ostatni, niezbyt łatwo dostępny, wspiął się przed 1924 r. geolog J. J. Prem. W sierpniu 1928 r. atakował go, bez powodzenia, Ahlfeld (p. przyp.[13]).

Grupa Choquetanga, w bocznej grani, złożona z pięciu szczytów, z których głównym jest Nevado de Choquetanga (między 5700 m a 5800 m). Jest to nie zwiedzona dotychczas, a z powodu braku kopalń w pobliżu, również i najtrudniej dostępna część Cordillera Quimza Cruz.

Grupa Monte Blanco, najpiękniejsza i najwyższa z całego pasma, z największymi też lodowcami. Choć w październiku 1911 r. działali tutaj Herzog i Seelig — wejście na Cometa (5300 m) i Herzoga samotne na Carnaval (5450 m), nakoniec na najwyższy szczyt grupy a zarazem całego pasma Quimza Cruz, Cerro Jachacunucollo (o nazwie hiszpańskiej: Las Tres Marias, 5900 m) — a w maju 1926 r. Ahlfeld, Robert Gerstmann, Luther i Partmuss (wejście na szczyt Curicampana) — większość szczytów grupy, wraz z najpiękniejszymi — Cerro Leon Jihuaña (5800 m), Ninacollo Grande (5600 m), Gigante (5880 m), Chojñacota, Altarani czyli San Juan (5800 m), Aguilar i Monte Blanco — oczekuje jeszcze zdobywcy.

Grupa Pongo z głównym szczytem Pacuni (5600 m), bliżej niezbadana.

Poza przełęczą Tres Cruces ciągną się, jako ostatni już zwarty człon pasma Kordylierów Głównych, **Cordillera Santa Veracruz,** których najwyższym szczytem jest Cerro Fortuna (5600 m, lub więcej). Łańcuch ten, o charakterze alpejskim, nie został dotychczas bliżej poznany.

[10]) Por. H. Hoek: *Bergfahrten in Bolivia.* „Zeitschrift des Deutschen und Österreichischen Alpenvereins", t. 36, s. 165—194; t. 37, s. 162—190; t. 38, s. 121—140. Innsbruck 1905—1907. — Tenże: *Erläuterung zur Routenkarte der Expedition Steinmann — Hoek — von Bistram in den Anden von Bolivien.* „Petermanns Mitteilungen", t. 52, zesz. 1, Gotha 1906.

[11]) Spośród wielu prac T. Herzoga na temat jego wypraw w Andach Boliwii, najwięcej materiału zawierają jego dwie książki: *Vom Urwald zu den Gletschern der Kordillere* (Stuttgart 1913 i 1925) oraz *Bergfahrten in Südamerika* (Stuttgart 1925).

[12]) Por. C. Seelig: *Ein Ausflug ins Hochland von Bolivia.* „Jahrbuch des Schweizer Alpenclubs", r. 48, Zürich 1912—1913.

[13]) Por. F. Ahlfeld: *Die Cordillera Quimza Cruz.* „Zeitschrift des Deutschen und Oesterreichischen Alpenvereins", t. 63, s. 79—94. Stuttgart—Wien 1932.

Pozostaje jeszcze do wymienienia parę łańcuchów i gniazd górskich, których, chociaż bezpośrednio do Kordylierów Głównych nie należą, nie sposób również zaliczyć do Kordylierów Pustynnych. Znajdują się bowiem po wschodniej stronie boliwijskiej Altiplano, stanowiąc boczne odgałęzienie *Kordylierów Wschodnich.* Są to: wyróżniające się wysokością **Cordillera de Chocaya** (Cero Meroco, 5670? m) i zupełnie łatwo dostępne **Cordillera Victoria,** których dwa najwyższe wzniesienia, Cerro Liqui (5150 m) i Cerro Campanario (5050 m) zwiedzili w styczniu 1904 r. Bistram, Hoek i Steinmann (p. przy. [10]) — a ponad to, ważniejsze od wymienionych, Cordillera de Cocapata i Cordillera de Potosi.

Cordillera de Cocapata, notowane zresztą pod różnymi nazwami, są silnie rozczłonkowane i dzielą się na sześć, kolejno poniżej wyliczonych grup:

Sierra de Cochabamba. Główny ich szczyt, skalisty, trójwierzchołkowy Cerro Tunari (5204 m) otrzymał już kilkakrotnie odwiedziny alpinistów (1 wejście: Hoek, 11 grudnia 1903 r., samotnie, podczas gdy jego towarzysz Steinmann doszedł do przełęczy 5000 m; 2. wejście: Herzog, w styczniu 1908 r.; 3 wejście: R. Bock i Herzog, 10 maja 1911 r.). Na wierch ok. 4900 m, najwyższy w masywie Cerro Negro, wszedł Herzog, 12 maja 1911 r. (przyp. [10] i [11]).

Sierra de Montehuainco. Na ich najwyższym wzniesieniu, Punta de San Miguel, zwanym też False Tunari (5100 m), stanął pierwszy (?) Herzog, w maju 1911 r. Szczyt Tiquiraya (5000? m) nie został (?) tu jeszcze poznany.

Grupa Piñas jest w Kordylierach Cocapata największa i posiada małe lodowce. Szczyt Piruata (5210 m) atakowali tu (1 lipca 1911 r.) Bock i Herzog, ale burza zmusiła ich do odwrotu. Najwyższy z całego pasma, Cerro Incachacca (5230 m), poznał Herzog, 22 sierpnia 1911 r. Pozostały jednak niezdobytymi pięciotysięczne szczyty Huarilihuina i Khalkatiri, jak również dwa najpiękniejsze w masywie: Pucacaca (5100 m) i Piñas (5100 m).

Sierra de Yanacaca. Najwcześniej zwiedziła te góry ekspedycja Bistrama, Hoeka i Steinmanna w styczniu 1904 r., ale przebyła tylko szereg przełęczy, jak Abra de Carapacheta (4521 m), Apacheta de Colcapata (4405 m) i in. Najważniejsze ze szczytów są tu Nevado Santa Carmen, San Juan, Calacruz (5200 m); zwiedzony z nich został — przez Herzoga, 9 lipca 1911 r. — tylko Cerro de la Carapacheta (5100 m).

Cerros de Malaga są skaliste i posiadają wiele turniczek w rodzaju tych, jakie znajdują się w Niskich Taurach. W styczniu 1904 r. Hoek przeszedł tu Abra de Malaga (3950 m), w czerwcu 1911 r. Herzog wszedł na najwyższy w masywie Cerro Yuraccasa (4900 m). Następny z kolei, Cerro Yulo (ok. 4900 m), nie został jeszcze poznany (?).

Cerros de Ventalani lub Viscachalani. Ekspedycja Bistrama, Hoeka i Steinmanna w styczniu 1904 r., a Herzog w lipcu 1911 r., zwiedzili te góry podrzędne, nie sięgające nawet 4800 m wys.

Na koniec **Cordillera de Potosi** dzielą się na dwie grupy [14]):

Grupa Anda-caba. Wznoszą się tu szczyty: Comercacna (ok. 5000 m), Pinaorco (ok. 5000 m) i Tolaco (4600 m) — oraz trzy szczyty, które w listopadzie 1903 r. zwiedziła wyprawa Bistrama, Hoeka i Stein-

[14]) Por. H. Hoek: *The Cordillera de Potosi.* „Alpine Journal", t. 23, zesz. 171. London 1906.

m a n n a: Cerro de Potosi (4860 m), Hembra (5055 m) i najwyższy Anaroyo (5215 m).

Grupa Cari-cari. Rozłożysty wierch Cerro Illimani (5050 m) poznał tu H o e k w listopadzie 1903 r. Inne wzniesienia — Challuiri, Maucatambo (5200 m) i najwyższy z całego łańcucha, San Fernando (5300 m) — mają jednak mniej „babiogórski" charakter niż inne szczyty tej grupy.

D. c. n. *Jan A. Szczepański*

† ACHILLE RATTI – PAPIEŻ-ALPINISTA

W dniu 10 lutego br. o godz. 5 min. 31 — po 17 latach panowania na Stolicy Piotrowej — zmarł w Mieście Watykańskim Ojciec Święty Pius XI, dożywszy sędziwego wieku 81 lat.

Znany i bliski Polakom, najpierw — od maja 1918 r. — jako wizytator, a następnie — od maja 1919 r. po kwiecień 1921 r. — już jako pierwszy nuncjusz apostolski w Odrodzonej Polsce, dr Achille Ratti, późniejszy *Papież Polaków,* był również osobistością, której imię wieczną pamięcią utrwaliło się w sercach alpinistów całego świata.

Urodzony 31 maja 1857 r. w miejscowości Desio, po ukończeniu szkół i uzyskaniu święceń kapłańskich poświęca się dr Achille Ratti poważnym studiom nauki kościelnej. Jednocześnie jednym z jego najserdeczniejszych przywiązań życiowych staje się alpinizm. W sierpniowym dniu 1885 r., w którym młody ksiądz Ratti święci swój chrzest górski wejściem na Cima di Jazzi (3818 m) w Alpach Walijskich — Alpy zyskują w nim jednego z najfanatyczniejszych swych wielbicieli. Ksiądz Ratti miał wówczas lat 28. Od owego dnia sierpniowego co roku przez lat 28 poświęcał część każdego lata na pobyt w swych ukochanych Alpach i uprawianie alpinizmu, w którym dostrzegał nie tylko źródło wspaniałych przeżyć sportowych i estetycznych, ale i znakomitą szkołę ducha — szkołę charakterów.

Najwybitniejszym czynem alpinistycznym Zmarłego Papieża było zdobycie urwistej wsch. ściany Pointe Dufour (4638 m) w masywie Monte Rosa, dokonane w 1889 r. w tow. ks. prof. Luigi Graselliego z przewodnikami Josefem Gadinem i Alessio Promentem, połączone z trawersowaniem szczytu i zejściem do Zermatt, skąd w kilka dni później, po świeżo spadłym śniegu, nastąpiło wejście na Matterhorn (4482 m), odbyte w niezwykle ciężkich warunkach, które zmusiły alpinistów do zabiwakowania podczas zejścia popod „Ramieniem" szwajcarskiej grani Matterhornu. W rok później, 1 sierpnia 1890 r. dr Achille Ratti i Jean Bonin odkrywają (z tymi samymi przewodnikami) najlepszy, po dziś dzień powszechnie używany i znany pod nazwą „drogi Papieża" szlak na Mont Blanc (4807 m) z lodowca del Dôme, od strony włoskiej. Poza tymi najbardziej znanymi wejściami górskimi późniejszego Papieża, lista Jego wypraw górskich zawiera zarówno długi szereg wycieczek o dominujących walorach widokowych jak i niemniej liczne przejścia o charakterze bardziej już sportowym. Wznoszenie się po szczeblach pracowitej kariery kapłańskiej i powiększające się stąd z roku na rok obowiązki powoli odciągają jednak dra Achillesa Rattiego od czynnego zajmowania się alpinizmem. Powołanie w 1912 r. do Biblioteki Watykańskiej uniemożliwia Mu niebawem całkowicie uprawianie alpinizmu. W lecie 1913 roku żegna się na zawsze z alpejskimi szlakami. Ma wówczas lat 56.

W ciszy bilioteki, na coraz bardziej odpowiedzialnych i absorbujących stanowiskach, wreszcie nawet na najwyższym w kościelnej hierarchii tronie Piotrowym — Papież Pius XI myślami często wraca do swych dni górskich, dając najżywszy wyraz swego niesłabnącego przywiązania do alpinizmu i doceniania jego wyższych, ponad-materialnych wartości — przez akt o wyjątkowym dla alpinistów znaczeniu historycznym, jakim jest Jego list apostolski z dnia 20 sierpnia 1923 roku, ogłaszającym św. Bernarda z Mentony patronem alpinistów.

Czynem i sercem wierny alpinizmowi, Papież Pius XI poświęcał mu także nieraz i swoje pióro. Zapiski te zebrali skrupulatnie Giovanni Bobba i F. Maur i wydali po 1923 r. w pięknej książce pt. „Scritti alpinistici del sacerdote Dott. Achille Ratti".

W żałobie, jaką po śmierci Papieża Piusa XI okrył się Kościół Katolicki, uczestniczą żywo alpiniści całego świata bez różnicy wyznania. Pamięć o *Papieżu-alpiniście* i *Papieżu alpinistów* nigdy wśród nich nie zaginie.

Z. D.

NA GRANI FUSCHERKARKOPF

Biała rzeka lodowca Pasterze zapada się coraz niżej; po zielonych trawkach i rumowiskach kończącej się grani pniemy się w górę wprost od Franz-Josefs-Höhe. Po dniach mgły i deszczu nareszcie mamy pogodę, gdzieś ponad Heiligenblut wstało słońce i spija rosę z traw. Resztki mgieł chowają się czym prędzej w żlebach i załomach skał. Na stoku co chwilę napotykamy dziury i osuwiska: to miejsca, z których brano żwir i piasek na budowę szosy, leżą jeszcze pogięte rury wodociągu służącego do wymywania piasku i połamane ramy i kraty.

Z drugiej strony doliny wystrzela w niebo piękna w kształtach piramida Grossglocknera. Słońce kładzie na niej swe promienie i zapala tysiące iskier w śniegu i lodzie. Z zazdrością myślę, dlaczego wczoraj nie było tak ładnie — tam na Grossglocknerze mieliśmy mgłę i kurniawę. Wicher szarpał nami, siekł w twarz ostrymi igłami lodu — na szczycie mgła spowijająca wszystko dokoła, niżej deszcz, który przemoczył nas do nitki.

Dochodzimy do grani. Ciepła, nagrzana w słońcu skała niesie pewność i spokój. Biała lina rozwija swe sploty i wiąże nas razem. Ruszamy. Jakżeż ohydnie krucho! No tak, Alpy to nie Tatry.

— — — — — — — — — — — — — —

Mgły znowu przyszły. Naprzód niewielkie pasemka, błąkające się nieśmiało po dnach dolin, później wielkie białe kłęby sunące w górę, aż wreszcie całkiem spowici jesteśmy w gęstej, prześwietlonej słońcem masie. Nie widać nic. W górze wyczuwamy błękitne niebo i słońce, przed nami wiemy: dalszy ciąg grani, w dole... szosa. Słyszymy ją ciągle, bezustannie grzmi setkami silników, jęczy przeciągłym wyciem syren lub żałosnym głosem trąbek. Sznury samochodów i motocykli suną dzień cały bez przerwy — niski ryk silnych maszyn miesza się z wysokim tonem „Dekawek" i pykaniem motocykli. Wszystko to razem tworzy jeden wielki szum przenikający w głąb dolin i podchodzący wysoko do grani. Mimowoli łapię się na tym, że w gwarze staram się znaleść dzwonki tramwajów — tak do złudzenia przypomina to hałas wielkomiejskiej ulicy. Nic zresztą dziwnego, wszak statystyki wykazują, że w pogodny dzień letni na Franz-Josefs-Höhe parkuje około 1700 samochodów, nie licząc motocykli.

Nagle uwagę naszą odwraca głos inny — coś jak gdyby grzmot daleki lub ryk potężny. To turnie lodowe oberwały się w zerwach lodowców Glocknera i pędzą lawiną na dół tratując wszystko po drodze. Echo powtarza huk — przez chwilę góry grzmią rozgłośnie, zagłuszając nieznośny hałas szosy. To przyroda daje znać, że jeszcze jej całkiem nie ujarzmiono, że potężne jej siły jeszcze nie wygasły i gdy zechcą, zwyciężą motor i zetrą na pył kunsztowne dzieła cywilizacji.

— — — — — — — — — — — — — — —

Został już daleko Freiwandeck i Freiwandspitze. Mgły ustąpiły, lecz nie rozeszły się całkiem. Siedzą gdzieś przyczajone i kłębią się za granią, gotowe w każdej chwili stamtąd wyjść. Droga przewodnikowa omija nisko poszarpane turnie — my idziemy po tatrzańsku: ściśle granią. Z wspaniałych zębów korony Freiwandkopf schodzimy na przełęcz, trudności już poza nami. Dalej rozciąga się szeroka, brunatnym rumowiskiem zasłana grań, łatwo wyprowadzająca na Fuscherkarkopf, na którym nie ma jeszcze kolejki linowej. Ale za dwa lata już będzie.

— — — — — — — — — — — — — — —

Schodzimy żlebem, którym — według przewodnika — można bez większych trudności zejść na lodowiec Pasterze gdzieś w okolicy schroniska Hofmanna. Żleb jest łatwy, wprawdzie ograniczające go gładkie płyty uniemożliwiają wyjście z niego, ale dnem idzie się zupełnie dobrze. Zaczyna się zmierzchać, jednak lodowiec przybliża się do nas szybko — dzieli nas od niego już chyba tylko ze dwieście metrów wzniesienia. Nagle... żleb urywa się gładką, miejscami przewieszoną zerwą. Obejścia nie widać nigdzie. Czyżby przewodnik się mylił? A może weszliśmy w inny żleb? Nie, droga jest ta sama, tylko nie przewidzieliśmy wybudowanego w ostatnim roku odcinka szosy. Szeroka, asfaltowa droga wcina się głęboko w strome zbocze tworząc nad sobą prostopadłe ścianki. A u wylotu naszego żlebu założono jeszcze kamieniołom, tak że zerwa liczy chyba sto metrów. Wśród zapadającego zmroku lawirujemy po ścianie kamieniołomu, spadająca z góry kaskada wody rozpryskuje się na naszych głowach, usuwające się spod nóg stopnie grożą przecięciem liny lub okaleczeniem mej towarzyszki. Na kruchej, pionowej ścianie napróżno szukam miejsca na wbicie haka — zaledwie można znaleść słabe chwyty dla rąk. Nareszcie jednak sytuacja poprawia się i po godzinnej blisko przeprawie lądujemy na środku asfaltowej szosy.

— — — — — — — — — — — — — — —

W zupełnej ciemności idziemy przez lodowiec do naszego namiotu rozbitego na bocznej morenie. Cisza jest zupełna, czasem tylko jakiś kamień, urwany w ścianie, zbudzi na chwilę echo, czasem szmer jakiś odezwie się w szczelinie lodowca, ale szybko głos milknie i znów zapada taka dzwoniąca w uszach cisza. Szosa zginęła w czerni nocy, nie widać jej, ani nie słychać — zniknęły wszelkie przejawy triumfu ludzkiej techniki nad przyrodą. Tylko lodowce spływają ze zboczy tak samo jak za czasów legendarnego Briciusa, czy podczas zdobywania Glocknera przez biskupa Salma lub zwycięstw Pallaviciniego. I góry stoją te same — wspaniałe, groźne i dzikie.

Dochodzimy do namiotu. Otula nas idąca z zachodu zimna, wilgotna mgła, niosąca z sobą deszcz. Nic dziwnego — przecież to Wysokie Taury, najbardziej deszczowa grupa Alp.

Maciej Zajączkowski

PRZEGLĄD ALPINISTYCZNY RUWENZORI

Łańcuch Ruwenzori — „Montes Lunae" starożytnych, „Dżebel Kmur" Arabów i „nienazwane góry śnieżne u źródeł Nilu" Portugalczyków, uwidocznione na mapach Claudiusa Ptolemeusa (II w. po nar. Chr.), Mohammeda ibn Musa (IX w.) i Mercatora (XVI w.), a odkryte, jak wiadomo, przez największego z podróżników afrykańskich, Henry M. Stanley'a w dniu 24 maja 1888 roku (chociaż już w 1876 r. dostrzegł je z oddali Romolo Gessi, uważając je za miraż, nie za rzeczywistość) — znalazł się obecnie w ośrodku zainteresowań polskiego świata alpinistycznego z powodu działającej w tych górach wyprawy polskiej (por. „Tat." XXIII, 22-3). Dlatego też, nawiązując do dawniejszych notatek w „Taterniku" (XVI, 71; XVII, 19, 86; XXII, 134-5), podajemy trochę uzupełnień z dziejów ich poznawania.

Przełomem w dziejach Ruwenzori była wyprawa księcia Abruzzów (czerwiec—lipiec 1906 r.), która zamknęła okres odkrywania tych gór, a otwarła okres ich sportowego zdobywania. Przed rokiem 1906 działali w Ruwenzori przede wszystkim naukowcy, jak botanik niemiecki dr Stuhlmann (1891 r.), geograf angielski J. F. Scott-Elliot (1894), angielski wysoki komisarz Ugandy sir Harry Johnston (1899, angielski botanik M. J. E. S. Moore (1900), szwajcarski botanik dr J. David (1904) i inni. Najśmielej poczynał tu sobie Stuhlman, który wszedł na Col Stuhlmann (4193 m) i Moore, który wspiął się na grań masywu Bakera do wys. 4541 m; dr David twierdził, że osiągnął jakąś nienazwaną przełęcz o wys. jakoby aż 5100 m. Nawiasem mówiąc, wyprawa Davida była jedyną przed 1932 r., która Ruwenzori osiągnęła od zachodu; zwykle bowiem obierana jest trasa od wschodu, którędy i polska wyprawa dotarła do gór.

Poczet wypraw alpinistycznych w Ruwenzori rozpoczęli w grudniu 1905 roku D. W. Freshfield i A. F. Mummery, osiągając jednak niewiele lepsze wyniki niż naukowcy, gdyż tylko wejście na Col Freshfield (4326 m). Z kolei w lutym 1906 r. pojawiła się w Ruwenzori wyprawa A. F. R. Wollastona, A. B. Woosnama i M. Carruthersa: spośród ogółem dziewiętnastu śnieżnych wierzchołków Ruwenzori udało się jej zdobyć pierwsze dwa: Pic Edouard (4873 m) i Pic Wollaston (4659 m). W parę miesięcy później działa wyprawa księcia Abruzzów: z plejady wielkich dziewiczych szczytów Ruwenzori pozostają wówczas do zdobycia już tylko cztery.

Następują dalsze wyprawy: w 1907 r. nie bardzo udolne naśladownictwo wyprawy księcia Abruzzów — bezowocna wyprawa księcia Meklemburskiego, w 1908 r. prace komisji delimitacyjnej anglo-belgijskiej (ale najwyższe jej osiągnięcie, to zaledwie 3300 m wys.) itd. Myśliwy belgijski André Pilette dociera (18 czerwca 1912 r.) do 4500 m wys. na Kraepelin, Belg amerykański M. J. Bequaert do wys. 3800 m w masywie Gessi. Na lata 1926 i 1932 przypada pięć kolejnych wypraw dra Noëla Humphreysa, angielskiego lotnika, lekarza i topografa, największego entuzjasty Ruwenzori: w pierwszej wyprawie powtarza on (w lutym 1926 r.) wejście na Szczyt Wiktora Emanuela (4914 m) i przechodzi Col Roccati (ok. 4300 m), co było zarazem pierwszym pełnym trawersowaniem Ruwenzori, w drugiej wyprawie (lipiec 1926 r.) powtarza wejście na Szczyt Małgorzaty (5119 m), w trzeciej (luty 1932 r.) na Szczyt Jolanty (4769), w czwartej (w kwietniu 1932 r.) zdobywa przedostatni z wielkich dziewiczych szczytów Ruwenzori, Weisman (4663 m), w piątej (w lipcu 1932 r.) atakuje daremnie ostatni z takich szczytów, Kraepelin, dochodząc do 4500 m wys.; ponad to w grudniu 1931 r. odbywa niezmiernie instruktywny pierwszy przelot samolotem nad Ruwenzori.

W latach 1926—1931 odbywają się poza tym jeszcze cztery wyprawy naukowe w Ruwenzori, docierające aż do lodowców. Również w 1929 r. Francuz M. Humbert dotarł do Jeziora Zielonego (jak nasz Kazimierz Nowak; por. „Tat." XVII, 131).

W r. 1932 działała w Ruwenzori wielka wyprawa belgijska pod wodzą hr. Xavier de Grunne, której plonem stały się m. in. mapa 1:100.000 całości Ruwenzori i mapa 1:25.000 głównych szczytów, jak również mapa geologiczna i mnóstwo przyczynków naukowych. O wyprawie tej, zarówno jak o następnych wystarczająco dokładnie informował „Taternik", *l. c.*

Pod względem topograficznym dzieli się łańcuch Ruwenzori na pięć masywów:

I. *Masyw Gessi* (na wsch. od Przełęczy Roccati, ok. 4300 m). Szczyty: 1) Bottego, 4719 m (1. wejście: Z. A. ks. Abruzzów z Giuseppe Petigaxem i Cezarem Ollier, 16 lipca 1906 r.); 2) Yolande, 4769 m (1. w.: j. w. na Bottego; 2. w. N. Humphreys, w końcu lutego 1932 r.).

II. *Masyw Emin* (pomiędzy Przełęczą Roccati a Przełęczą Cavalli, 4310 m). Szczyty: 1) Humbert, 4802 m (1. w.: ks. Abruzzów z Giuseppe i Lorenzo Petigaxami i Cezarem Ollier, 28 czerwca 1906 r.); 2) Kraepelin, 4792 m (1. w.: Xavier de Grunne, J. de la Vallée-

Poussin, W. J. Ganshof van der Meersch i P. Marlier z przew. Joseph'em Georges, 23 lipca 1932 r. (zach. granią).

III. *Masyw Speke*, w jęz. tubylców *Duwoni* (między przełęczami Cavalli i Stuhlmanna). Szczyty: 1) Victor Emanuel, 4914 m (1. w.: ks. Abruzzów z G. Petigaxem i C. Ollierem, 23 czerwca 1906 r., lodową ścianą pn.-zach.; 2. w.: N. Humphreys, w lutym 1926 r.; 3. w.: E. E. Shipton i H. W. Tilman, 23 stycznia 1926 r., od pd.-zach.; 4 w.: Ganshof, Vallée-Poussin i P. Michot z Georgesem, 3 sierpnia 1932 r., całkowite trawersowanie grani szczytowej; 5. w.: Una Camerun z E. Bareuxem i E. Crouxem, w lutym 1938 r.); 2) Johnston, 4848 m (1. w.: N. Humphreys, 22 lipca 1926 r., pd. granią przez tzw. „Trident Peak").

IV. *Masyw Stanley*, w jęz. tubylców *Kamjangungwe* (pomiędzy przełęczami Stuhlmanna i Scott-Elliota, 4341 m). Szczyty: 1) Marguerite, 5119 m (1. w.: ks. Abruzzów z G. Petigaxem i C. Ollierem oraz tragarzem Brocherelem, 18 czerwca 1906 r., od pd.; 2. w.: N. Humphreys, Armitage i G. Oliver, 19 lipca 1926 r., od wsch. i pn.; 3. w.: E. E. Shipton i H. W. Tilman, 21 stycznia 1932 r., lodową pd.-wsch. granią; 4. w.: X. de Grunne, W. J. Ganshof i P. Solvay, jako też Henri de Schryver z Jos. Georgesem. 13 lipca 1932 r., od strony zach. i pn. granią; 5. w.: Eugen Eisenmann i Theo Schnackig, 10—11 lutego 1938 r., pn.-wsch. ścianą; 6. w.: ci sami, nazajutrz, po biwaku na Szczycie Alberta); 2) Alexandra, 5098 m (1. wejście: ks. Abruzzów i tow., 18 czerwca 1906 r.; 2. wejście: de Grunne i Vallée-Poussin, jako też Ganshof z Georgesem, 28 lipca 1932 r.; 3. wejście: Eisenmann i Schnackig, 12 lutego 1938 r.; 4. wejście: Una Camerun i jej przew., w lutym 1938 r.); 3) Albert, 5088 m (1. wejście: de Grunne i tow. 28 lipca 1932 r.; 2. wejście: Eisenmann i Schnackig, 11 lutego 1938 r.); 4) Moebius, 4925 m (1. wejście: Vittorio Sella i A. Roccati, 25 czerwca 1906 r., 2. wejście: de Grunne, Vallée-Poussin i Marlier, 4 czerwca 1932 r.); 5) Hélène, 4982 m (1. wejście: ks. Abruzzów z G. Petigaxem, C. Ollierem i tragarzem G. Brocherelem, 20 czerwca 1906 r., ścianą i żlebem pn.-wsch.; 2. wejście: H. de Schryver i W. J. Ganshof z Georgesem. 1 sierpnia 1932 r.; wsch. ścianą); 6) Savoie, 5005 m (1. wejście: ks. Abruzzów i tow., 20 czerwca 1906 r. od Szczytu Heleny).

V. *Masyw Baker*, w jęz. tubylców *Kiyanja* (pomiędzy przełęczami Scott-Elliota i Freshfielda, 4326 m). Szczyty: 1) Semper, 4824 m. (1. wejście: ks. Abruzzów z G. Petigaxem, C. Ollierem i G. Brocherelem, 10 czerwca 1906 r.; 2. wejście: E. Eisenmann i Robert Hildebrand, 19—20 lutego 1938 r., pn. ścianą; 3. wejście: Una Camerun i jej przew.; w lutym 1938 r.); 2) Edouard, 4873 m (1. wejście: A. F. R. Wollaston i A. B. Woosnam, 1 kwietnia 1906 r.); 2. wejście: wyprawa ks. Abruzzów, 10 czerwca 1906 r.; 3. wejście: Eisenmann i Hildebrand. 20 lutego 1938 r.; 4 wejście: wyprawa panny Camerun w lutym 1938 r.); 3) Moore, 4654 m (1. wejście: V. Sella i tow., 26 czerwca 1906 r.); 4) Wollaston, 4659 m (1 wejście: Wollaston i Woosnam, 1 kwietnia 1906 r.; 2. wejście: wyprawa ks. Abruzzów w czerwcu 1906 r.).

VI. *Masyw Savoie* (na pd. od Przełęczy Freshfielda). Szczyty: 1) Stairs, 4590 m (1. wejście: Sella i Roccati, w lipcu 1906 r.; 2. wejście: Alfred Stumpp i Conrad von Wnest, w końcu lutego 1938 r.); 2) Sella, 4654 m (1. wejście: Sella i Roccati, w lipcu 1906 r.; 2. wejście: wyprawa panny Camerun, w 1938 r.); 3) Weisman, 4663 m (1. wejście: N. Humphreys i G. Oliver, w kwietniu 1932 r.).

Każdy w tych masywów wysyła rozmaite granie boczne, częściowo jeszcze wprawdzie wysokie, ale już bezśnieżne, przedstawiające mniejszej wartości cel alpinistyczny. Najważniejsze z nich są: 1) pn.-zach. grań od Szczytu Gessi, ze szczytami 4350 m, 4150 m i in., zwiedzonymi przez wyprawę belgijską w 1932 r. oraz przez belgijskiego oficera-topografa Marliera w 1933 r.; 2) pd.-wsch. grań od Szczytu Gessi, z dwoma wierchami, Portal (4522 m); 3) pn. grań od Kraepelin, z wierchami Senguye (4200 m) i w. in., zbadana w latach 1932 i 1933; 4) pd.-zach. grań od Szczytu Marguerite z wierchami Wusuwameso (4565 m), Mugule (4450 m) i in., zwiedzonymi przez Belgów w 1932 r. (na Wusuwameso wszedł zresztą pierwszy Amerykanin Chapin w 1926 r.) w czasie ich marszu ku głównym szczytom; 5) wsch. grań od Szczytu Moore z Pic Cagni (4519 m) zdobytym przez wyprawę ks. Abruzzów w 1906 r. i paru niższymi szczytami. Bez wątpienia najważniejszą z tych bocznych grani jest długa pd. grań odgałęziająca się od masywu Savoie, biegnąca aż do masywu Watamagufu (4171 m) zwiedzonego przez Humphreysa w 1932 r. — w grani tej bowiem występują względnie bardzo wysokie a nie poznane dotychczas i częściowo śnieżne szczyty 4872 m, 4565 m, 4530 m, 4392 m i 4341 m.

K. R.

P. S. Alpinistycznym celem odbywającej się obecnie polskiej wyprawy w Ruwenzori są masywy Emin. Gessi i Speke, w których alpiniści wyprawy mieli przebywać między 26 stycznia a 8 lutego rb. — i masyw Stanley, dokąd zamierzano udać się w drugiej dekadzie lutego. W chwili druku niniejszego zeszytu, względnie w najbliższych dniach powinny już nadejść pierwsze wiadomości o alpinistycznych wynikach wyprawy.

Red.

Z TATR

Sezon wczesno-zimowy 1938/39 r.

Widocznie dla zachowania równowagi w przyrodzie, w przeciwieństwie do poprzedniej, tak obfitej w śniegi zimy, zima obecna upływała dotąd pod znakiem istnej „deflacji" śnieżnej, co odbiło się ujemnie na nasileniu ruchu narciarskiego, a w ostatnich tygodniach napełniło niepokojem organizatorów zawodów FIS-u (Féderation Internationale de Ski), które na rok 1939 zostały wyznaczone do Zakopanego i właśnie w chwili, w której piszemy te słowa, zwracają na podtatrzańską stolicę oczy całego sportowego świata. Pierwsze śniegi zimowe spadły w listopadzie, jednak nawet w stosunkowo najpomyślniejszym pod względem ilości śniegu okresie po świętach Bożego Narodzenia i w pierwszej połowie stycznia warstwa śniegu na przekraczała w najbardziej zaśnieżonych miejscach kilkudziesięciu cm. Tymczasem już w pierwszej połowie stycznia nastąpiło nagłe ocieplenie i w Tatrach nastała na parę tygodni prawdziwie wiosenna pogoda, prawie bez zachmurzenia i zupełnie bez opadów; po 15 stycznia nie było już mowy o wydostaniu się na Halę Gąsienicową... na nartach. Począwszy od końca stycznia zaczęły się na przemian małe opady i odwilże, ale wreszcie — dosłownie w przeddzień FIS-u — Tatry znów pokryły się białym całunem. W ciągu całego prawie minionego okresu obecnej zimy po stronie słowackiej można było stwierdzić o wiele pomyślniejsze dla narciarstwa warunki niżeli po północnej stronie Tatr.

Tak niepomyślna dla turystyki i sportu narciarskiego sytuacja, stwarzała jednak w ciągu całego prawie stycznia i z początkiem lutego doskonałe warunki dla wspinaczek zimowych, chociaż wskutek topnienia śniegów skały były miejscami pokryte grubą warstwą lodu. Ruch taternicki był niezbyt ożywiony, jakkolwiek nie tak słaby jak zim ubiegłych. Z zakomunikowanych nam wejść zimowych wymienić należy przede wszystkim tak piękne zdobycze, jak 1. wejście zimowe pn. ścianą Wielkiej Buczynowej Turni (Z. R a d w a ń s k a - K u l e s z y n a i S. G r o ń s k i), 1. wejście zimowe na Lodowy Szczyt wprost z Doliny Suchej (J. B u j a k, A. K a r p i ń s k i i J. K l a r n e r) i na Wierch pod Fajki wsch. ścianą (S. G r o ń s k i), po stronie słowackiej zaś — wejście zimowe na Sławkowski Szczyt wprost z Dol. Staroleśnej (E. K i r c h n e r i A. V e v e r k a). Musimy też zanotować radosny fakt pojawienia się na zimowych szlakach taternickich przedstawicieli najmłodszego taternickiego pokolenia, którzy w minionym okresie zimowym mogą pochwalić się już tak ładnymi przejściami, jak wsch. granią Giewontu lub wejściem na Szczerbę w Giewoncie od pn.

Mimo niewielkich — jak wspomnieliśmy — śniegów, przez pewien czas (po Nowym Roku) istniało w Tatrach znaczne niebezpieczeństwo lawin. Największą lawinę spowodowała w dn. 5 stycznia br. partia czterech narciarzy, studentów Politechniki gdańskiej, na pd. zboczach pn.-zach. grani Skrajnej Turni. Dążąc — po świeżym opadzie śnieżnym — z Kasprowego w kierunku Skrajnej Turni i minawszy Liliowe, zbyt oddalili się oni od grani wtrawersowując prawie poziomo w pd. stoki Skrajnej Turni. Minąwszy grzędę, która opada z dolnej części pn.-zach. grani Skrajnej Turni, postanowili powrócić na grań, jednakże wskutek niedoświadczenia zaczęli podchodzić głęboko zaśnieżonym żlebem, w którym wiatr nawiał grubą warstwę świeżego, ze starym śniegiem nie związanego jeszcze mokrego śniegu. W lawinie, która w ten sposób strącili już popod samą granią, znalazło śmierć trzech z nich: Jerzy G l i s z c z y ń s k i, Zygmunt K o s m o w s k i i Stanisław Z a r e m b a, który szedł na przedzie i porwany został już na samej krawędzi obsuwu lawiny. Idący na ostatku Janusz K u k u c k i ocalał znajdując się w chwili obsunięcia się lawiny poza jej obrębem. Dwutygodniowe poszukiwania, jakie w olbrzymich zwałach lawiny na dnie Dol. Cichej prowadziło na życzenie rodzin ofiar Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe pod kierownictwem p. Józefa O p p e n h e i m a, doprowadziły do odnalezienia pod grubą warstwą zbitego śniegu lawinowego ciał G l i s z c z y ń s k i e g o i K o s m o w s k i e g o. Zwłok Z a r e m b y nie odszukano mimo przesondowania i przekopania całej lawiny. Szybkie twardnienie śniegu, a co za tym idzie beznadziejność i bezcelowość dalszych, dla członków Pogotowia ogromnie wyczerpujących poszukiwań, spowodowały ich zaniechanie. Wypadek wywołał żywy oddźwięk w prasie, która poświęcała mu przez cały czas trwania poszukiwań TOPR-u wiele miejsca [1]).

Z. D.

---

1) Na wieść o trudnościach, na jakie przy poszukiwaniu ciał zasypanych narciarzy natrafiło Pogotowie, pewien pomysłowy obywatel radził w liście do TOPR, aby w celu szybszego przeszukania zwałów lawiny użyto . . materiałów wybuchowych. Wprawdzie, jak zauważył, zasypani mogliby podczas wybuchów doznać pewnych obrażeń cielesnych, ale przecież (zdaniem owego obywatela) nie byłoby to dla nich tak ciężkie wobec uratowania im życia (nb. w trzy czy cztery dni po zasypaniu, jak godzi się mimochodem zaznaczyć).

KARTA ŻAŁOBNA

† **William Hunter Workman** (1847—1937). 7 października 1937 r. zmarł w wieku 91 lat dr William Hunter Workman, znakomity amerykański podróżnik i himalaista, przeżywszy o 12 lat swą małżonkę, z którą w latach 1899—1912 tworzył jedyną w swoim rodzaju parę alpinistyczną. Dr Workman, urodzony w Worcester w stanie Massachusetts, ożenił się w 1881 r. ze swą rodaczką, panną Fanny Bullock. Dysponując dużymi funduszami osobistymi, państwo Workman rozpoczęli w 1891 r. serię — ekscentrycznych, jak na owe czasy — podróży na rowerach, na których w ciągu siedmiu lat zwiedzili większą część Europy, północną Afrykę, Palestynę, Syrię i Turcję. W latach 1897—1899, używając wciąż tego samego środka lokomocji, przejechali 2.900 km na Ceylonie, 2.400 km na Jawie i 22.000 (!) km wzdłuż i wszerz Indii Brytyjskich, po raz pierwszy w 1898 r. zwiedzając Himalaje. Podróże te miały w pierwszym rzędzie cele krajoznawcze, ze szczególnym uwzględnieniem miejscowej architektury i sztuki. Wkrótce jednak Workmanowie, oczarowani wspaniałością Himalajów, coraz gruntowniej poczynają się interesować nimi, jako klasycznym terenem badawczym i alpinistycznym. W 1898 r. odwiedzają Sikkim i próbują — zresztą bez powodzenia, bo osiągając zaledwie około 5000 m wysokości — wejść na Kabru (7316 m). W tym samym jeszcze roku, znalazłszy się w Kaszmirze, przebywają 17 przełęczy wzniesionych na 4300—5500 m w prowincjach Ladak, Nubra i Suru.

W 1899 r. państwo Workman organizują pierwszą wielką ekspedycję w Karakoram, rozpoczynającą cykl pionierskich wypraw, które w bardzo wybitnym stopniu przyczyniły się do zbadania tego pasma. W 1899 r. zwiedzają Lodowiec Biafo i wchodzą na szereg niższych szczytów w okolicy Skoro-La, przede wszystkim na Koser Gunge (6400 m). Po trzyletniej przerwie znów wracają w Karakoram i w 1902 r. rozpoczynają eksplorację Lodowca Chogo Lungma. Prace te kontynuują w tych samych terenach w 1903 r., przy czym w sierpniu t. r. dr Workman dokonuje wraz z trzema włoskimi przewodnikami, towarzyszącymi jego wyprawie, ataku na Pyramid Peak (7465 m), osiągając na nim wysokość 7130 m — do 1905 r., w którym dr T. G. Longstaff dotarł do wysokości 7250 m na Gurla Mandhata (7728 m), alpinistyczny rekord wysokości. Podczas tej samej wyprawy 1903 r. wchodzi również dr Workman na dwa dziewicze szczyty Karakoram: Chogo (6555 m) i Lungma (6880 m).

W 1906 r. znajdujemy Workmanów po raz drugi w zachodnich Himalajach, tym razem w masywie Nun Kun. W czasie wyprawy tej Fanny Bullock-Workman osiąga kobiecy rekord wysokości wejściem na Pinnacle Peak (6932 m) [1]) — rekord, który przetrwał 28 lat, aż do 1934 r., w którym Hetty Dyhrenfurth weszła na zachodni wierzchołek Queen Mary Peak (około 7200 m).

W 1908 r. państwo Workman znowu wyprawiają się w Karakoram, gdzie przechodzą całą długość Lodowca Hispar, przekraczają przełęcz Hispar i schodzą Lodowcem Biafo w dolinę rz. Braldo; ta wielka wyprawa lodowcowa liczy 115 km długości. W 1911 r. amerykańska para przeprowadza eksplorację największego himalajskiego lodowca, odkrytego właśnie w 1909 r. przez dra Longstaffa Lodowca Siachen (75 km dług.), zwłaszcza zaś jego górnych, z Lodowcem Baltoro graniczących partii. Wreszcie podczas swej ostatniej, w 1912 r. odbytej wyprawy w Karakoram powracają Workmanowie raz jeszcze na Lodowiec Siachen, wchodzą na Indira Col (6360 m) — zwiedzoną przedtem dopiero raz jeden przez Gen. Francis Younghusbanda w 1889 r. — i przez Lodowiec Kaberi i przełęcz tej samej nazwy schodzą do Baltistanu.

W czasie swych wypraw dr Hunter Workman prowadził rozległe studia fizjologiczne na dużych wysokościach, badania nad strukturą lodu i śniegu na lodowcach i nad ruchami lodowców himalajskich, obserwacje meteorologiczne, a przede wszystkim w całej pełni pionierskie prace kartograficzne. Państwo Workman opisali swe rozliczne wyprawy w dziewięciu książkach, z których pięć dotyczy wypraw himalajskich i w literaturze himalajskiej stanowi ogromnie cenne pozycje. Są to wydane w Londynie książki: „In the Ice-World of Himalaya" (rok 1900), „Ice-Bound Heighst of the Mustagh" (1908), „Peaks and Glaciers of Nun Kun" (1909), „The Call of the Snowy Hispar" (1910) i „Two Summers in Ice-Wilds of the Eastern Karakoram" (1917).

Niepodobna nie zwrócić uwagi na to, że państwo Workman odbywali swe wyprawy himalajskie już w wieku — jak na tego rodzaju działalność — nader zaawansowanym: dla dra Hunter Workmana wypadły one na 52—65 rok życia, przy czym swego rekordowego pod względem wysokości ataku na Pyramid Peak dokonał w 56 roku życia — Mrs Bullock-Workman odbywała je w wieku 40—53 lat, mając już

[1]) Pinnacle Peak pomierzono wówczas aż na 7081 m, a wejście na szczyt odbyło się z obozu założonego na wysokości ok. 6500 m (21.300 st. ang.). O łączności wejścia na Pinnacle Peak z historią rzekomego zdobycia andyjskiego Huascaránu oraz pomierzeniem jego wysokości — p. w „Tat." XXIII, 6—7.

lat 47 podczas swego sławnego wejścia na Pinnacle Peak. Szczegół ten także wymownie podwyższa indywidualną wartość całej, i tak zresztą wybitnej, pionierskiej działalności himalajskiej dra Hunter Workmana i jego dzielnej małżonki. *R.*

† **Plut. Henryk Oleksowicz** zmarł w dniu 13 stycznia 1939 r. wskutek ran odniesionych w dniu 27 listopada ub. r. podczas zajmowania przez wojska polskie obszaru Tatr jaworzyńskich. Cześć Jego pamięci!

KRONIKA ALPINISTYCZNA

Wyprawa chilijska na Tupungato. Pięciu młodych członków Club Andino de Chile, Antonio Mercado, Carlos Piderit, Antonio Rovegno i Oscar Santelices (nawiasem mówiąc, mili znajomi członków II polskiej wyprawy w Andy 1937 r.) zorganizowało w lutym 1938 r. pod wodzą Piderita wyprawę na Tupungato (6650 m), szczyt jeden z najpotężniejszych w Kordylierach Środkowych, zdobyty dotychczas — mimo wielu ataków — dopiero trzy razy (w latach 1897, 1912 i 1937). Wyprawę młodych andynistów chilijskich uwieńczyło powodzenie: mimo wielu trudności mogli Piderit, Mercado i Rovegno dnia 16 lutego t. r. wpisać 4. wejście na Tupungato do kronik andyjskich.

W górach Alaski — o których eksploracji ostatnio pisaliśmy w „Tat." XXII, 169 — szczególną aktywnością odznaczył się ub. r. alpinista amerykański Bradford Washburn jun., który prócz zanotowanego już, *l. c.*, wejścia na dziewiczą *Mount Saint Agnes* (dokonanego 23 czerwca w tow. Normana Brighta, Petera Gabriela i Normana Dyhrenfurtha), 21 lipca zdobył wraz z Terris Moore'm również dziewiczą *Mount Sandford* (4875 m).

Mount Robson (3954 m) w górach Kolumbii Brytyjskiej był celem wyprawy Howarda Carlsona, Hansa Fuhrera i Williama Hainswortha, którzy weszli na ten szczyt tzw. „Helmet Ridge", po biwaku na Helmet-Robson-Saddle. Przejście to ma być najtrudniejszą wspinaczką lodową w górach Kanady.

Hornsundtind zdobyty! Znany dobrze z widzenia uczestnikom polskich wypraw na Spitsbergen, urwisty Hornsundtind (1430 m) zdobyty został w lecie 1938 r. przez niemiecką wyprawę dra H. Riehe'a, przeprowadzającą na zach. wybrzeżach Spitsbergenu prace fotogrametryczne, geograficzne i fizjologiczne. Poza zdobyciem „spitsbergeńskiego Matterhornu", członkowie wyprawy dokonali w okolicy Hornsundu pięciu innych wejść szczytowych i jedno wejście w okolicy Kongsfiorden.

Szwajcarska wyprawa na Grenlandię 1938 r., składająca się z siedmiu członków Akad. Klubu Alpejskiego w Zurychu i kierowana przez André Rocha, prowadziła w lecie na wsch. wybrzeżu wyspy prace naukowe, przy czym część jej uczestników weszła na *Mount Forel* (3460 m), podczas gdy pozostali przebyli najwyższe wzniesienie wielkiego wewnętrznego płaskowyżu lodowcowego wschodniej Grenlandii.

NOTATKI

30-lecie śmierci Mieczysława Karłowicza obchodzone było w dniu 8 lutego w kilku miastach Polski, przede wszystkim w Zakopanem i przy kamieniu pamiątkowym pod Małym Kościelcem. O uroczystościach Karłowiczowskich napiszemy szczegółowiej w następnym zeszycie „Taternika".

P. Prezydent R. P. w Jaworzynie. P. Prezydent R. P. prof. dr Ignacy Mościcki zaszczycił swą obecnością odzyskane w listopadzie ub. r. tereny tatrzańskie, spędzając dwa tygodnie w okresie świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku w zameczku myśliwskim (1034 m) na Skoruszowem w Jaworzynie. Wśród osób towarzyszących P. Prezydentowi znajdował się ks. prałat Jan Humpola, kapelan przyboczny Prezydenta R. P., członek Klubu Wysokogórskiego PTT., znakomity taternik — towarzysz wielu wypraw skalnych dra Mieczysława Świerza, współzdobywca wsch. ściany Mięguszowieckiego Szczytu. Po raz drugi P. Prezydent spędził w Jaworzynie kilka dni w okresie odbytych ostatnio w Zakopanem zawodów FIS-u.

Klub slovenských turistov a lyžiarov, z siedzibą w Liptowskim Św. Mikułaszu, powstał z połączenia szeregu organizacyj turystycznych i narciarskich, działających w Słowacji. Bliższe szczegóły na ten temat podamy w następnym zeszycie.

Od Redakcji. Z powodu konieczności dwukrotnego powiększania działu artykułowego w niniejszym zeszycie, musiała Redakcja odrzucić cały szereg notatek kronikarskich, które zostaną zamieszczone w następnym zeszycie „Taternika".

Z PIŚMIENNICTWA

F. S. Smythe: Obóz Szósty. *Dzieje wyprawy na Mount Everest w roku 1933.* Tytuł oryginału: „Camp Six". Z angielskiego przełożył Aleksander Dobrot. Przedmowę do polskiego wydania napisał Józef Orenburg. Str. 337, 31 ilustracyj i 1 mapka. Towarzystwo Wydawnicze „Rój", Warszawa 1938.

Nad wyraz szczęśliwym pomysłem było obdarzenie polskiego czytelnika książką Smythe'a o Evereście. Pomysł to tym szczęśliwszy, że na pierwszą w jęz. polskim książkę alpinistyczną obcego autora wybrano zarówno temat w tej dziedzinie najbardziej frapujący jak i opracowanie, jedno z najżywiej ujętych, jakich dostarczyła nam w przeciągu lat piętnastu angielska literatura everestowska. Wśród licznych książek opisujących zmaganie się człowieka z najwyższą górą Ziemi, książka Smythe'a posiada liczne zalety, dzięki którym potrafi najbardziej zainteresować nie tylko laika — dla którego jest głównie przeznaczona — ale i alpinistę, który w literaturze wielkich wypraw himalajskich szuka nie tylko ścisłych danych i drobiazgowego opisu działań jakiejś wyprawy, ale poza tym czynnika, który by najsilniej przemawiał do wyobraźni, porywał za tematem, pozwalał jak najbardziej wczuć się w sytuacje — zaiste niezwykłe i jedyne w świecie, jeśli chodzi o koleje losu uczestników wypraw na najwyższą górę naszego globu. „Obóz Szósty" daje czytelnikowi sposobność żywego *uczestniczenia* w losach everestowskich alpinistów, darząc go na każdej niemal stronie dominującym wrażeniem bezpośredniości, z jaką Smythe opisuje zarówno najbardziej porywające momenty wyprawy jak i drobne wydarzenia codziennego dnia. Autor nie pierwszej już książki alpinistycznej, mający za sobą długi szereg artykułów na tematy górskie, a i w życiu codziennym, jako dziennikarz, zawodowo pracujący piórem — Smythe potrafi pisać ciekawie. I dlatego może pierwsza połowa książki, poświęcona dość szczegółowemu opisowi podróży, wypadła tak interesująco.

Książka napisana jest żywo i zatrzymuje uwagę czytelnika na każdym niemal drobiazgu. Postacie towarzyszy — i Anglików i owych znanych „tygrysów" himalajskich — wyszły spod pióra Smythe'a nad wyraz plastycznie: żyją w książce, poruszają się — niemal że widzimy ich ruchy i poznajemy po głosie. Jednego zdania wystarczy Smythe'owi, aby wywołać uczucie sympatii w stosunku do człowieka, którego przecież nawet nie widzieliśmy — dla piszącego te słowa np. zawsze żywą będzie fizyczna i duchowa sylwetka „Shebby'ego" (Shebbeare'a), „starego, czerstwego wojownika", który „zawsze uważał sobie za punkt honoru wyjście na Przełęcz Północną", co mimo swego podeszłego wieku urzeczywistnił pod koniec trwania wyprawy 1933 roku.

Operując umiejętnie i z umiarem wszelkimi czynnikami kunsztu pisarskiego, które potrafią opis uczynić żywym i trzymającym w napięciu uwagę czytelnika (chciałoby się po prostu powiedzieć *widza*), kreśli Smythe nieporównany obraz trudów posuwania się ku górze łańcucha obozów, walki z zimnem, z wichrem, ze śnieżycami, z chorobą, walki z rozleniwiającym wpływem wysokości, którego codzienne przezwyciężanie w ciągu długich dni i tygodni jest może świadectwem największego hartu ducha, jakim wykazać się można na wielkiej wyprawie himalajskiej. Sam zryw ataku szczytowego, wymagający oczywiście największego natężenia woli i sił fizycznych, trwa już krótko — stosunkowo krótko w porównaniu z tym całym mozołem, jakim jest zakładanie łańcucha obozów i wyczekiwanie na moment do przeprowadzenia ataku szczytowego najdogodniejszy — jest w pewnym sensie wypadkową i finałem żmudnego okresu przygotowawczego.

Najwspanialej napisane zostały przez Smythe'a rozdziały, w których przedstawia on obraz działań powyżej Przełęczy Północnej. „Burza w Obozie Piątym" (rodz. XIII), „Obóz Szósty" (rozdz. XIV) i „Atak na szczyt" (rozdz. XV) — zwłaszcza zaś ten ostatni — należą do najpiękniejszych w literaturze alpinistycznej opisów. Smythe nie stara się mówić o wielkości w bohaterstwie, samozaparciu, ofiarności, koleżeńskości, odporności na trud fizyczny i moralny; nie każe zachwycać się sobą i towarzyszami przez wyolbrzymianie lub bagatelizowanie walki z przyrodą: pozostaje przez cały czas realistą. I dlatego czytający jego opisy alpinista zostaje niejako wciągnięty w akcję, przeżywa każdą godzinę i każdy metr wspólnie z bohaterami opisu. Prostota i szczerość, z jaką autor oddaje zwłaszcza te najdramatyczniejsze chwile ataku na szczyt, czynią obraz upartej walki człowieka ze sprzymierzonymi złymi mocami gór najwyższych, wprost fascynującym, porywającym wyobraźnię, wywołującym w niej dokładne obrazy ludzi i sytuacyj — po społu bohaterów everestowskiego eposu.

W losach wyprawy „bierzemy udział" — niewidzialni — do ostatniego rozdziału. I równie żywo jak Smythe, który z ludzi dotarł najwyżej bodaj na ziemi, i jak inni czujemy żal do Everestu, że znów nie dał się zdobyć; w pełni odczuwamy wrażenie jego surowej, okrutnej potęgi. Członkowie grupy szturmowej zeszli wreszcie — spędzeni przez monsun — do obozu trzeciego: „do obozu wkroczyła procesja wynędzniałych postaci.

Nigdy nie zapomnę — pisze Smythe — jak nas powitał Hugh (Ruttledge; przyp. rec.) i inni; już dla samej rozkoszy tego powitania warto było przejść wszystko, nawet porażkę". Czy można powiedzieć o tym właściwym finale więcej i bardziej obrazowo?

Poza czysto literacką i opisową wartością, książka Smythe'a zawiera też wiele uwag o znaczeniu praktycznym. Są one wplecione w tok opowiadania. Warto tu przytoczyć choćby zdania dotyczące przewagi zespołów 2-osobowych nad 3-osobowymi w samym ataku szczytowym — koncepcja przeciwna zresztą ówczesnym poglądom Ruttledge'a — lub wypowiadane w paru miejscach książki uwagi na temat konieczności uprzedniego zgrania się zespołów mających atakować wielki szczyt himalajski.

Tłumaczenie nie pozostawia wiele do życzenia; jest składne i wiernie oddaje prosty, niewymuszony w stylu opis walki o Everest. Jedynymi usterkami są nie wszędzie prawidłowe tłumaczenia technicznych wyrazów (np. „płytowata ściana" lub „lodowo-piarżysta polanka") oraz uporczywe używanie nowotworu „alpinistyka" zamiast alpinizm.

Przedmowę do polskiego wydania „Obozu Szóstego" napisał Józef Orenburg, autor artykułów o wyprawach na Mount Everest, kilkakrotnie już ogłaszanych w „Taterniku". Przedmowa ta jest przerobionym odpowiednio artykułem pt. „Mount Everest 1852—1936" („Tat." XXI, 154—169). Wprowadza ona znakomicie w temat czytelnika, nieobznajmionego z problemem Everestu; podkreślić tutaj trzeba przezorność, z jaką „Rój" zwrócił się do Klubu Wysokogórskiego o wydelegowanie autora takiej przedmowy. Praca Orenburga jest ujęta doskonale. Będąc dostępną i zrozumiałą dla laika, stanowi zarazem poważne, fachowe, o dużej erudycji autora świadczące oświetlenie przebiegu wypraw na Everest i — ogólnie — zagadnienia zdobywania najwyższego szczytu Ziemi.

Najpoważniejszym błędem wydawnictwa jest, na pierwszym miejscu, brak mapki przedstawiającej najbliższe otoczenie Everestu i Lodowca Rongbuk (co dla należytego zorientowania 99% czytelników książki było konieczne), oraz pominięcie skorowidza alfabetycznego, którym każde tego rodzaju wydawnictwo obce jest, bo powinno być, zaopatrzone, a do którego w ogóle jakąś niewytłumaczoną niechęć czują polskie firmy wydawnicze. Ilustracje dano dokładnie te same co w angielskim wydaniu.

Wniosek ostateczny: „Obóz Szósty" powinien znaleźć się w bibliotece każdego alpinisty i każdego, kto interesuje się górami wysokimi. Smythe pisze w jednym miejscu swej książki, że w obozie pierwszym miał „walizeczkę z najrozmaitszymi drobiazgami: tubka pastylek od bólu gardła, para okularów szoferskich, grube rękawice o jednym palcu, świeczka, scyzoryk, mapa Everestu, tom „Pickwicka", Biblia, skórzany albumik z fotografiami rodziny — ot i wszystko". Piszący te słowa jest bodaj nie mniejszym niż Smythe entuzjastą „Pickwicka", chociaż go nigdy ze sobą w góry nie zabierał. Niemniej obecnie — w parę już tygodni po przeczytaniu recenzowanej teraz książki odnosi wrażenie, że właśnie „Obóz Szósty" będzie książką, która mu nie raz będzie towarzyszyć w schronisku górskim lub w namiocie.

Zdz. Dąbrowski.

Wiktor Ostrowski: Na szczyt świata. *Polska i świat współczesny. Biblioteka młodzieży. Nr 48.* Str. 59, 5 ilustr., 1 mapa. Gebethner i Wolff, Warszawa 1938.

Z wydaniem polskiego przekładu „Obozu Szóstego" Smythe'a niemal zbiegło się w czasie ukazanie się książeczki Ostrowskiego pt. „Na szczyt świata", traktującej również o dziejach zdobywania Everestu. Streszcza ona ten temat popularnie, w sposób dostosowany do zasadniczego celu, jakim jest wzbudzenie zainteresowania i zrozumienia wśród młodzieży dla bojów alpinizmu o najwyższe góry świata. Cel ten został osiągnięty. Ostrowski umie zresztą pisać interesująco i barwnie, a zarazem z ujmującą niekiedy prostotą ujęcia tematu. I chociaż z różnych względów możnaby jego książeczce to i owo zarzucić, to jednak błędy te można darować, gdy się weźmie pod uwagę zalety podejścia do tematu i żywości stylu (abstrahując jednak w tym wypadku od stanowczo przesadnego zamiłowania autora do wielokropków). Wymienić natomiast należy usterki, których możnaby uniknąć nawet przy szczupłości miejsca (która nb. przeszkodziła niewątpliwie autorowi w zachowaniu należytej proporcji między poszczególnymi aktami walk o Everest). A więc nie wiadomo dlaczego przekręcona została (s. 15) legenda o *białej lwicy* zamieszkującej śniegi Everestu (znana z notatki J. B. Noela, w interpretacji Ostrowskiego mówiąca o „tygrysicy"), dalej rzucić się może w oczy łatwa do sprawdzenia nieścisłość, jakoby wierzchołek Everestu był od Przełęczy Północnej „oddalony zaledwie o osiem kilometrów" (s. 22), gdy w rzeczywistości *zaledwie o trzy*, wreszcie zbytnim uproszczeniem poglądu na budowę Himalajów tchnie powiedzenie (s. 20), że spowodowane lawinami himalajskimi wiry powietrzne „potrafią łamać odwieczne *lasy na przeciwległych zboczach*" (*podkr.* rec.). Jeśliby chodziło jeszcze o inne usterki obciążające autora, to razi zupełnie dowolna, często zatem nieprawidłowa odmiana nazwisk angielskich, dalej nie zawsze prawidłowe przestankowanie i wreszcie uhonorowanie *monsunu* pisaniem go (dlaczego?) stale z dużej litery. Nie wiadomo natomiast, komu zawdzięczać należy niedbałą miejscami korektę: np. na s. 56 mowa o wyprawie „roku 1934" (?) tam, gdzie chodzi o wyprawę Shiptona w r. 1935;

na s. 59 — notatka o śmierci Mallory'ego podczas wyprawy „1934 r." zamiast 1924; poza tym w korekcie mocno ucierpiały gdzieniegdzie nazwiska: na s. 17 „Wollanston" zamiast Wollaston, na s. 46 „Irwine" zamiast Irvine, na s. 55 dwukrotnie „Smithe" zamiast Smythe. Wskutek przeoczenia wreszcie, objaśnienie pod mapką okolic Everestu, żywcem wzięte z „Taternika", jest w połowie zupełną zagadką dla kogoś, kto nie widział nigdy himalajskiego zeszytu „Taternika". Książeczkę zdobi zdjęcie Everestu w monsunowym śniegu (z kliszy „Taternika") i 4 inne fotografie. Dodanie mapki (reprodukowanej już w himalajskim zeszycie „Taternika") należy zapisać na plus wydawnictwa, które bez wspomnianych usterek byłoby niemal idealną propagandą tematu wśród młodego pokolenia czytelników. *Z. D.*

Fritz Schmitt: Der Bergsteiger von heute. *Entwicklung, Technik und Grundlagen des neuzeitlichen Bergsteigens.* Str. 350. München 1938. Bergverlag Rudolf Rother.

Nie mogąc, ze względu na znany brak miejsca w „Taterniku", zrecenzować książki Schmitta tak, jak na to zasługuje, chcę jednak zwrócić na nią szczególną uwagę taterników polskich, podkreślając, że jest niezbędną dla każdego, kto interesuje się nowoczesnym alpinizmem. Nader zwięźle, a niemal wyczerpująco, ujęte są tu wszystkie zagadnienia współczesnego sportu wysokogórskiego, od śmiałych i oryginalnych rzutów ideologicznych aż po piękny rozdział „Kameraden der Berge", poświęcony zmarłym wspinaczom, i zgrabnie ujęte wypisv z nowego piśmiennictwa alpinistycznego („Es spricht die junge Generation"), szkoda tylko, że ograniczone do piśmiennictwa niemieckiego.

Znakomicie opracowane są działy techniczne, jak „Neuzeitliche Felstechnik" (pióra † Maduschki), „Neuzeitliche Eistechnik" (pióra † Maduschki i † Welzenbacha), „Der hochalpine Skilauf" i „Winterbesteigen", a także uwagi o śniegu i lawinach (pióra prof. Paulcke), namiocie i biwaku, pogodzie i wypadkach górskich, zebrane we wspólnym rozdziale „Allgemeines Wissen und Erfahrungen". Trzeba jednak dodać, że wszystkie rozdziały książki mają wartość jedynie dla alpinistów zaawansowanych i doświadczonych, elementarnych wskazówek brak u Schmitta zupełnie. Za to takie rozdziały jak „Moderne Haken- und Seiltechnik" mogą być dla taternika jeszcze ciągle rewelacją.

Duży nacisk położył autor na część historyczną obrazującą kolejny rozwój i wyniki tak wypraw alpejskich jak egzotycznych. Posługując się wszędzie nowymi źródłami dał praktyczne i celowe *compendium* zdobyczy człowieka w wysokich górach, świetne uzupełnienie obfitych ale nieraz nieścisłych materiałów Schmidkunza w „Alpines Handbuch" (por. „Tat. XVI, 21 i XXII, 146), znakomite też uzupełnienie i nieraz poprawienie danych, zawartych w Herzoga „Der Kampf um die Weltberge" (por. „Tat." XIX, 102).

Ogromnie podnoszą wartość książki i ułatwiają z niej korzystanie liczne tablice, zestawienia i szkice pomocnicze, wśród których nie brak ani tabeli najważniejszych wypraw himalajskich od 1883 r. (dokładniejszej w zestawieniu wyników i bogatszej o sześć pozycyj w porównaniu z tabelą „Tat." XXI, 182—185, ale pozbawionej za to rubryki „literatura"), ani niezmiernie pouczających przeglądów rekordów wspinaczek skalnych i lodowych, ani nawet spisu dotychczasowych trzynastu włoskich „bivacchi fissi".

Nakoniec warto wspomnieć o *polonicach* książki Schmitta. W rozdziale o Kaukazie podaje autor wyniki polskiej wyprawy z 1935 r., wie też że Ojos del Salado jest „prawdopodobnie drugim szczytem Ameryki", a Mercedario „zapewne trzecim" i notuje wiadomość o drugiej polskiej wyprawie w Andy, a dość dokładnie wyniki pierwszej. Nic przeto dziwnego, że we wstępnym rozdziale swej książki nie zapomina wymienić Polaków wśród narodów alpinistycznych świata, co wskazuje zarówno na jego bezstronność jak i na coraz powszechniejsze liczenie się z naszym alpinizmem na zachodzie.

n. d.

SPRAWY KLUBU

Podziękowanie. *Zarząd Klubu Wysokogórskiego składa tą drogą serdeczne podziękowanie tym wszystkim licznym osobom i instytucjom, które na wieść o zgonie ś. p. Prof. Dra Mariana Sokołowskiego nadesłały na ręce Zarządu listy i telegramy kondolencyjne z wyrazami żalu z powodu odejścia nieodżałowanego Prezesa i Członka Honorowego naszego Klubu.*

Wydawca: KLUB WYSOKOGÓRSKI P. T. T. ● **Redaktor: ZDZISŁAW DĄBROWSKI**

● OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA GOTÓWKĄ ●

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa

WYDAWNICTWA KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

do nabycia w Administracji „Taternika" w Warszawie oraz w Filii Administracji „Taternika" w Krakowie

Zeszyty z lat 1907—1922 do nabycia tylko w Filii Administracji w Krakowie.
Zeszyty roczników bieżących do nabycia również
w księgarniach Gebethnera i Wolffa i in.

	Zł.
TATERNIK, roczniki 1907, 1908, 1909, 1910, 1911	wyczerpane
Do nabycia pojedyńcze zeszyty:	
Nr 6 z 1907 r., Nr 4—6 z 1908 r., Nr 4 z 1909 r., Nr 2—6 z 1910 r., Nr 1—5 z 1911 r., po	4.—
TATERNIK, roczniki 1912 i 1913 po	20.—
— zeszyty pojedyńcze roczników 1912—1914 po	4.—
— 1 zeszyt za lata 1915—1921	4.—
— rocznik 1922 (zeszyty 1—2 i 3—4)	4.—
— — 1923/24 (1 zeszyt)	2.—
— — 1925 (zeszyt 1—2)	2.—
— — 1928 (zeszyty 1, 2, 3, i 4—6)	8.—
— pojedyńcze zeszyty rocznika 1928 po	2.—
— roczniki 1929 i 1930 po	4.—
— — 1931 i 1932 3 po	5.—
— — 1933 i 1934 po	4.50
— rocznik 1934/5	6.50
— roczniki 1935/6 i 1936/7	7.—
— rocznik 1937/8	5.50
— zwyczajne zeszyty pojedyńcze roczników 1929—1938 po . . .	1.—
— zeszyty specjalne i podwójne po	1.50
— zeszyt himalajski (Nr 5 z r. 1936/7)	2.—

KSIĄŻKI I BROSZURY:

I. MIECZYSŁAW KARŁOWICZ W TATRACH. Pisma taternickie i zdjęcia fotograficzne wydane staraniem Zarządu Sekcji Turystycznej PTT., str. XII + 82 + 1 knlb. + 26 tablic (w tym jedna rotograwiura i 6 światłodruków), tylko dla członków Klubu . . . . 7.—
cena egzemplarza brosz. . . . 10.—

II. KLEMENSIEWICZ ZYGMUNT: ZASADY TATERNICTWA, z rysunkami J. R., str. VIII + 192; mała 8-ka, opr. . . . . 2.—

— KOMORNICKI STEFAN: Z DZIEJÓW TATERNICTWA, szkic. Osobne odbicie z »Taternika« 1909, str. 17 . . . . wyczerpane

— ŁOMNICA. Praca zbiorowa. Wydanie luksusowe na kredowym papierze w 35 numerowanych egzemplarzach, Kraków 1931 . . . . . . 5.—

— ADRAR N'DEREN. Polska wyprawa alpinistyczna w Wysoki Atlas. Praca zbiorowa. Wydanie luksusowe, Kraków 1935 . . . . 1.50

— MIECZYSŁAW ŚWIERZ. Ku czci człowieka gór. Praca zbiorowa, w 350 egzemplarzach numerowanych. Kraków 1933 . . . . 1.50

— NOWE DROGI W TATRACH WYSOKICH. Przewodnik periodyczny. Zeszyt I. Grupa Lodowego Szczytu. Warszawa 1931 (odbito na powielaczu) . . . . wyczerpany
Zeszyt 2. Od Wsch. Żelaznych Wrót do Polskiego Grzebienia. Warszawa 1932 . . . . 1.50

Wysyła się za pobraniem lub po przekazaniu należytości

●

Nakładem Drukarni Narodowej w Krakowie:

III. CHMIELOWSKI JANUSZ i ŚWIERZ MIECZYSŁAW: TATRY WYSOKIE.
I. Część ogólna. — Doliny. 4 knlb. + str. 118

IV. — II. Przełęcze i szczyty (od Liliowego po Wagę), str. VIII + 178

V. — III. Przełęcze i szczyty (od Wagi po Lodową Przełęcz), 2 knlb. + str. 176.

VI. — IV. Przełęcze i szczyty (od Lodowej Przełęczy po Przełęcz pod Kopą), str. VIII + 100.

Do nabycia w księgarniach.